Nr. 179. Lwów — Środa dnia 7 sierpnia 1907. Rok XLVII.

Redaktor naczelny
Dr. ALEKSANDER VOGEL.

Biura redakcyi: ul. Sykstuska l. 40, I. piętro otwarte od godz. 10 rano do godz. 1 w południe.
Biura administracyi: ul. Kopernika l. 7 parter (sklep) otwarte od godz. 9 rano do godz 7 wieczorem bez przerwy.
Przedpłata na „Gazetę Narodową“ wynosi

	we Lwowie:	na prowincyi:	za granicą:
miesięcznie	2 kor.	2 kor. 50 h.	
kwartalnie	6 „	7 „ 50 „	10 kor. 50 h.
półrocznie	12 „	15 „ — „	21 „ — „

Za zmianę adresu dopłaca się 40 hal.
Wraz z „Tygodnikiem mód i powieści“ lub też z warszawskim tygodnikiem „Ziarno“ i 12 tomami rocznie premií:
kwartalnie we Lwowie 8 kor. 40 h.
„ na prowincyi 9 „ 90 „
We Lwowie za odn zenie do domu dopłaca się 40 hal. miesięcznie

GAZETA NARODOWA

wychodzi o godzinie 5-tej wieczorem.

OGŁOSZENIA I PRZEDPŁATĘ przyjmują: We Lwowie: Administracya „Gazety Narodowej“ ul. Kopernika 7 i biuro Sokołowskiej Pasaż Hausmana; We Wiedniu: Haasenstein & Vogler (Otto Mass) I Kärntnerstr. 18 (Eing. Neuer Markt 3), Rudolf Mosse Seilerstädte 2, A. Oppelik Grünangergasse 12, M. Dukes Nachf., Max Augenfeld & Emerich Lessner I. Wollzeile nr. 9, Schalek Wollzeile 11, J. Dannenberg II Praterstrasse 33, Adolf Chulawski VII Stiftg. 4, E. Braun I. Rotenturmstrasse 9; W Budapeszcie: Julius Leopold VII. Elisabethring 41; We Frankfurcie n. M.: Haasenstein & Vogler i G. Daube & Comp.; W Paryżu: C. Adama Ciborowskiego następca: Raczkowski 14. Cité de Trévise Paris.
CENA OGŁOSZEŃ: Ogłoszenia zwyczajne na jednospaltowy wiersz drobnym drukiem ozajne miejsce 20 hal. Nadesłane za wiersz lub lub jegoejsce 60 hal. Głosy publiczności za jego mib jego miejsce 1 kor. Prywatna kowiersz lunoya 6 hal. od wyrazu.
Numer kosztuje 8 h., na prowincyi 10 hal.
(Numery dawniejsze kosztują po 10 ct.)

MOSKALOFILE.

Walki partyjne w obozach ruskich zaostrzają się z każdym dniem. Dr. Korol, do niedawna najpopularniejsza osobistość w kołach ruskich, w Żółkiewskiem tylko w ten sposób uszedł stanowczemu wotum nieufności ze strony swoich dotychczasowych zwolenników, że zobowiązał się wystąpić ze znienawidzonego przez moskalofilów klubu „ukraińskich“ posłów do rady państwa. Musiał on kapitulować w obec stanowczej woli wyborców swoich — wbrew przekonaniu, ponieważ według jego przekonania, zresztą niewątpliwie słusznego, bo opartego na długoletniem doświadczeniu parlamentarnem, tworzenie osobnego klubu moskalofilskiego, złożonego z pięciu uczestników w izbie, obejmującej przeszło pięciuset posłów, jest nonsensem. Po pp. Hlibowickim i Markowym, jest dr. Korol trzecim moskalofilem, który wystąpił z klubu ukraińskiego i mają pójść jeszcze za nimi pp. Kuryłowicz i ks. Dawydiak — równie niechętnie, jak i dr. Korol, ale pójdą, bo pójść muszą. Co do ks. Dawydiaka podobno nosi się on z myślą raczej złożyć mandat, niż z klubu ruskiego wystąpić. W takim zaś wypadku wszedłby do parlamentu jako zastępca posła w okręgu, z którego wybrany jest ks. Dawydiak — znany radykał moskalofilstwa, dr. Dudykiewicz z Kołomyi. Ten chyba — po scenach, jakie przeżył z łaski dr. Trylowskiego w Stopczatowie, ma na całe życie zepsuty smak do jakiejkolwiek wspólnej roboty z Trylowskim i jego przyjaciółmi!...

Więc z Dudykiewiczem, czy bez Dudykiewicza, ale w każdym razie na jesienną sesyę należy oczekiwać formalnego ukonstytuowania się w izbie poselskiej osobnego klubiku posłów moskalofilskich, którego kolegium będzie stanowiło trzech — może czterech, a najwięcej pięciu członków.

Rozumie się, że taki klub nie wiele zrobić zdoła. Ale sam fakt jego istnienia będzie żywym protestem przeciwko ukraiństwu, które moskalofile nazywają oszustwem i niedorzecznością. I powołują się oni na ten fakt, iż podczas ostatnich wyborów około 180.000 wyborców ruskich stanęło wrogo przeciwko ukrainofilom, popierając program staroruski, czyli moskalofilski.

Ruch staroruski ma cechę konserwatywną i klerykalną, ruch ukraiński coraz więcej skłania się ku socyalizmowi, otwarcie zwalczając wpływy „popów“. Z duchowieństwem staroruskiem solidaryzują się zwyczajnie i włościanie poważniejsi i rozważniejsi, których usposobieniu, z natury spokojnemu, nie odpowiada dzikie rozwydrzenie ukraińskich hajdamaków przeciwko wszystkim, i przeciwko wszystkiemu, co legalnie istnieje.

Lecz myliłby się, ktoby przypuszczał, że moskalofilstwo, którego szeregi są już teraz przez narodowców ukrainofilskich mocno przerzedzone, jest organicznie jednolitem. Pomiędzy moskalofilami samymi istnieją sprzeczne prądy, które mocno utrudniają im jednolite występowanie na widowni życia publicznego. Piątka moskalofilskich posłów najlepszym jest dowodem tego rozłamu w ich obozie. Mianowicie — gdy pp.: Marków i Hlebowickij proklamują bezwarunkową jedność narodową Rusi halickiej z Rosyą, pp.: Korol, Kuryłowicz i ks. Dawydiak, trzymają się drogi pośredniej t. j. chcą robić politykę galicyjsko-ruteńską, podlaną tylko sosem rosyjskim — na rosyjskim smaku. Za to też młodzież, stojąca po stronie pp.: Markowa i Hlebowickiego, obrzuciła ich zgniłemi jajami!

Główny organ dziennikarski moskalofilów galicyjskich: „Galiczanin“ i jego popularny dodatek dla chłopów p. t. „Russkaja Rada“, zwracają się stanowczo przeciwko „Ruteńcom“ — to jest przeciwko moskalofilom łagodniejszego tonu, szukających koniecznie punktów stycznych z ukrainofilami. Wyrazem tej dążności jest właśnie wytrwała niechęć pp. Korola, Kuryłowicza i Dawydiaka do wystąpienia z klubu p. Romańczuka. Lecz jak powiedziano, ruteństwo zmuszonem jest cofać się na całej linii, gdy z jednej strony prą na nich elementarną siłą rozagitowanych mas ludowych zwycięzcy ukrainofile, a z drugiej strony lewe skrzydło własnego obozu — zastępy zwolenników bezwarunkowego „objedinienija“ Rusi halickiej z Rosyą.

Obraz rozkładu w obozie moskalofilskim nie byłby jednakowoż dokładnym, jeżelibyśmy przeoczyli jeszcze dwie odmiany tego gatunku galicyjskiego ruteństwa. Mianowicie partya pp. Dudykiewicza, Hlebowickiego i Markowa znowu dzieli się na dwa odcienia, bardzo różne, chociaż jednakowo licho szwargocące z moskiewska po rusku: na „starych“ i „młodych“ Moskali. Starzy, to konserwatyści ciężkiego kalibru — mniej więcej to samo, co stronnictwo „istinno Russkich“ w Rosyi. „Diło“ nazywa ich też „chuliganami“. Młodzi, to zwolennicy Rosyi rewolucyjnej. Drwią oni także z popów i mocno sympatyzują z ideą zwalczania wszelakiej reakcyi, wszelakiego zastoju na polu społecznego i religijnego życia temi środkami, jakich używają rosyjscy wolnodumcy. Lecz w pierwszym rzędzie zwraca się ich nienawiść przeciwko ukraiństwu.

Ukraińcy, którzy podczas ostatnich wyborów zdobyli około 100 000 głosów więcej, niż moskalofile, ciągle zapewniają, iż partya moskalofilów jest na wymarciu, że popadła ona w zupełny rozkład. Lecz właśnie tak częste, ustawiczne zapewnianie o tem ze strony ukrainofilów, że nie boją się ruteńców, najdobitniej dowodzi, iż ciągle oni mają ruteńców na oku, jako najbliższych i najdokuczliwszych przeciwników.

Że ukrainofile i ruteńcy, czy tam moskalofile, nie lubią się nawzajem, nie ulega to żadnej wątpliwości. Dokuczają oni sobie, jak mogą — na każdym kroku. A do najulubieńszych sposobów dokuczania sobie należy u nich posądzanie przeciwnika o tajemne wysługiwanie się Polakom, o maskowane konszachty z Polakami.

Polacy nie mają zaprawdę żadnego powodu ani z jednymi ani z drugimi wchodzić w jakiekolwiek stosunki. Chociaż bowiem moskalofile nie występują tak dziko, nie są tak „zahonystymi“ — mówiąc z ruska, jak ukraińcy, to w gruncie rzeczy, w sile zawiści ku Polakom, ruteńcy wcale ukraińcom nie ustępują. Są oni tylko rozważniejsi i lojalniejsi w sposobie postępowania, lecz w rzeczy samej nie są ani o włos łagodniej względem Polaków usposobieni, jak hajdamacy z obozu „Diła“. I ta zawiść przeciwko Polakom, wspólna obu głównym obozom ruskim i wszystkim odcieniom tych dwu obozów, jest jedynym łącznikiem, który ich jednoczy w jednolity zastęp. Niech zniknie zawiść ku Polakom, a całe ruteństwo galicyjskie rozpadnie się w niezliczone partye i partyjki, zażarcie pomiędzy sobą gryzące się. Zawiścią one żyją — i od tej strawy zginą!

Sanacya finansów krajowych.

Półurzędowy „Fremdeblatt“ ogłosił artykuł, który zawiera następujące informacye:

„Jak wiadomo, od dłuższego czasu rząd ma zamiar wdrożyć akcyę celem sanacyi finansów krajowych. Ministerstwo skarbu chce poprzednio poznać zapatrywania wydziałów krajowych i na koniec września zwołać ankietę, do której wydziały krajowe wysłałyby swoich delegatów. Dla ułatwienia i uproszczenia obrad ankiety, minister skarbu już teraz podobno rozesłał wydziałom krajowym kwestyonaryusz, mający być podstawą ankiety, razem ze statystycznemi datami. Na podstawie tego materyału będą mogły wydziały krajowe powziąć orzeczenia i wnioski, odnoszące się do pytań urzędowego kwestyonaryusza.

„Podobne na pierwszym planie rozstrząsań urzędowych, wcale zresztą nie ukończonych jeszcze, znajduje się nie tyle przekazanie krajom pewnych podatków państwowych, jak raczej wyznaczenie rocznej stałej kwoty, wynoszącej może 25 milionów koron. Środków do tego wyznaczenia dostarczyłby może ewentualnie podwyższony podatek wódczany o kwotę 30 koron. Jednakże wszystko to, jak zaznaczyliśmy, nie wyszło jeszcze poza stadyum urzędowych badań.

„Nie jest również wykluczone, że obrady ankiety wskażą inną pożądaną drogę. Projektów sanacyi finansów krajowych nigdy nie brakowało. Pomiędzy innemi polecano, ażeby krajom przyznać prawo pobierania krajowych opłat stemplowych za krajowo-administracyjne czynności urzędowe, co jednakże byłyby wyłomem w państwowym monopolu stemplowym, polecano również upoważnić kraje do pobierania podatku spadkowego, lub innych danin. Urzeczywistnienie wymienionych, podobnie jak innych projektów podatkowych, byłoby dla ludności jeszcze większem obciążeniem, niż projekt wysunięty na pierwszy plan, ażeby krajom przekazać nadwyżkę z jakiegoś podatku państwowego, n. p. wódczanego. Że wybrany zostanie taki, lub podobny sposób rozwiązania sprawy, domyślać się każe już ta okoliczność, że przed kilku miesiącami, oczywiście z wykluczeniem precedensu co do pokrycia i dalszego trwania, ministerstwo skarbu wypłaciło Styryi i Krainie sumy z kasy państwowej jako zaliczkę na przekazania, które później może zostaną im przyznane.

„Co do formy przekazania pewnej oznaczonej kwoty, najważniejszą jest kwestya rozdziału na kraje, a więc opracowanie odpowiedniego klucza repartycyjnego. I co do tej kwestyi istnieją liczne projekty. Już przed kilku miesiącami (d. 31 marca b. r.) podaliśmy projekt, ażeby klucz repartycyjny ułożyć na podstawie skombinowania liczby mieszkańców każdego kraju i procentowego udziału jego dodatków do podatków państwowych, a to z tego powodu, że akcya sanacyjna musi być niezaprzeczenie opartą na momencie potrzeby.

A potrzeba sanacyi wyraża się bezwarunkowo w procentowym stosunku dodatków do podatków państwowych. Im mniej pewien kraj posiada własnych środków do pokrycia wydatków administracyi, tem wyższe musi nakładać dodatki do podatków. Gdyby natomiast podany z innej strony projekt, ażeby jako klucz repartycyjny przyjąć płacony przez kraj pewien podatek, n. p. gruntowy, to w takim razie groziłoby niebezpieczeństwo, że właśnie kraje pod względem podatkowym najsilniejsze — a więc kraje, jak n. p. Austrya Dolna, cieszące się zdrowemi finansami krajowemi, a więc nie potrzebujące takiej pomocy — otrzymałyby względnie większe kwoty, niż kraje potrzebujące rzeczywiście sanacyi finansów. Zresztą kluczów repartycyjnych nie brak. Wskazujemy tutaj na klucz planu bezpośrednich podatków osobistych i podatku wódczanego. W obecnym wypadku chodzi jednakże o inny cel i dlatego potrzeba wybrać nową, odpowiednią celowi drogę. I jasną jest rzeczą, że tutaj, gdzie chodzi o sanacyę, właśnie moment potrzeby, niezdolność podołania zadaniom administracyjnym powinna być o wiele więcej uwzględniona, niż inna, odwrotna właśnie okoliczność, a mianowicie względna wielkość zadań administracyjnych, które kraj z własnej siły z własnych środków wypełnia.“

Sprawy zagraniczne.

Dezorganizacya armii francuskiej.

Dymisya jenerała Hagron'a, który pełnił dotąd obowiązki jeneralissimusa armii francuskiej, sprawiła wrażenie przygnębiające. Znowu, tak jak w najgorszych chwilach przesilenia marokańskiego, strach zielony pojawił się na twarzach. Słyszę dokoła siebie, pisze paryski korespondent „Kraju“, i nawet wśród sfer ludowych, następujące wykrzykniki, komentarze i wnioski:

— Nie mamy już armii!

— We 24 godzin prusacy byliby w Reims!

— „On ne tirerait pas un coup de fusil!

I tak dalej.

Znane ewolucye nad Paryżem balonu wojskowego „Patrie“, z ministrem wojny jenerałem Picquart i p. Clemenceau na pokładzie, nie wystarczyły do pokrzepienia przelęknionych serc. Jeżeli nawet popłoch nie jest większy, to wstyd powiedzieć, ale trzeba, dlatego, że, przewidując wkroczenie zwycięskich, bez wystrzału wojsk niemieckich na terytoryum francuskie, znaczna część publiczności miejscowej, nawet w sferach ludowych, nie boi się bardzo tej ewentualności, to jest godzi się z nią, tak jak swojego czasu rojaliści z 1814 r., a później republikanie z r. 1871 godzili się z porażkami pierwszego i trzeciego Napoleona.

Do tego stopnia panujący obecnie porządek rzeczy, a raczej straszliwy i potęgujący się ciągle ich nieporządek, obmierzł masom Trzecia Rzeczpospolita utrzymuje się jedynie siłą rozpędową, nader potężną w kraju tak gruntownie zachowawczym jak francuski, oraz despotyzmem żywiołu politycznego, trzymającego w rękach organizacyę wyborczą i wyzyskującego ją z niezrównaną w dziejach samowolą.

Samo przez się zresztą ustąpienie jenerała Hagron nie ma wielkiego znaczenia. Były naczelny dowódca uchodził za zdolnego oficera, ale nie miał nigdy pola do popisania się przyznawanymi mu na kredyt talentami. Skądinąd dymisya jego jest raczej politycznego lub osobistego niż wojskowego charakteru. Jenerał Hagron nie od wczoraj dowiedział się o rozpaczliwym jakoby stanie powierzonej mu armii. Mógł też był zapobiedz przynajmniej w części owemu stanowi, występując cokolwiek częściej ze swoją opozycyą.

Wątpić nie można, że mimo cynizmu, rozpanoszonego w francuskich sferach parlamentarnych, przy zupełnem prawie zaniknięciu uczuć patryotycznych, jakiekolwiek z jego strony ostrzeżenie byłoby się stało nieprzezwyciężoną przeszkodą do zgubnych postanowień, którymi przed kilkoma tygodniami izby przyczyniły się tak lekkomyślnie do ostatecznego nadwerężenia krajowej siły zbrojnej. Ale generał Hagron milczał, jak pień i „post factum“ dopiero wystąpił z manifestacyą opozycyjną, która obecnie musi pozostać bezskuteczną.

Na postanowienie jego wpłynął podobno ten wzgląd, że powierzając mu obciążony straszliwemi odpowiedzialnościami spadek po generale Brugère, nie chciano przyznać mu właściwego tytułu generalissimusa, czyli podług terminologii urzędowej, „wiceprezesa najwyższej rady wojennej“, a poprzestano na udzieleniu mu „listu służbowego“ do pełnienia odnośnych obowiązków. Nie będąc franc-masonem, a należąc do rodziny bardzo religijnej, generał Hagron nie liczył się nigdy do „ludzi pewnych“, z republikańskiego punktu widzenia. Na ogół zresztą i po części dla tych samych przyczyn, cały sztab oficerski francuski, zwłaszcza w wyższych sferach, jest i staje się coraz bardziej wrogo usposobionym dla teraźniejszych rządów republikańskich. Stąd ogólna pochopność do tego rodzaju manifestacyj.

W kołach wojskowych słyszałem wyrażone zdanie, że dymisya gen. Hagrona, pospołu z przypisanemi jej przyczynami, to jest z doraźnem wycieńczeniem kontyngensu wojennego, przedstawiają zjawiska groźne, głównie — z powodu wywołanego przez nie wrażenia. Na wypadek wojny szeregi dałyby się zapełnić jakkolwiek za pomocą osobistych, powrotnych wezwań do służby, nad których przygotowaniem biura odnośne pracują właśnie z pośpiechem gorączkowym; ale znajdujący się w każdej armii znaczny procent żywiołów niesfornych znalazłby ewentualnie w tych faktach pożądany pozór dla usprawiedliwienia swojej niechęci, lub swojego tchórzostwa.

W tych samych kołach, a także i w sferach finansowych, wojna nie jest zresztą przewidywana. Najogólniej przeważa wniosek, że Niemcy nie chcą zbrojnego starcia, nie mając pieniędzy, a pragną owszem zbliżenia z Francyą dla poprawienia swojego położenia finansowego.

Amerykański trust stalowy.

Niedawno ukazało się sprawozdanie roczne „United States Steel Corporation“, nazywanej u nas trustem stalowym. Duża książka z rycinami i cyframi. A więc: dochody trustu stalowego w r. 1906 wynosiły 560 mil. dol., więc 2,800,000.000 kor. Tyle więc samo co np. dochody cesarstwa niemieckiego.

Trust stalowy to największe przedsiębiorstwo przemysłowe w Ameryce. Zatrudnia on 170.000 robotników, a w kasach leży stale 240 mil. kor., tyle więc co w największych bankach państwowych. Trust posiada 700 km. kolei żelaznych z 500 lokomotywami i 30 000 wagonami. Na amerykańskich jeziorach i rzekach płynie jego flota, złożona z 3.100 okrętów, w tem wiele parowców 10 000 tonnowych. W rozmaitych stanach posiada trust stalowy całe miasta, wielkie porty z 16 dokami, 17.000 pieców koksowych, 60 min żelaza z setkami milionów ton stali, 500 km. kw. ziemi z kopalniami węgla i sześćset prawie rozmaitych przedsiębiorstw przemysłowych.

Płace robotników wynosiły w r. 1906 około 600 mil. kor., akcyonaryuszom wypłacono 280 mil. kor. dywidendy, za odpisy i poprawki instalacyi technicznych widnieje w księgach kwota 240 mil. kor. Czysty zysk przedsiębiorstw wynosił 640 mil. kor. a udział w niem Andrewa Carnegiego, „króla stalowego“ i głównego akcyonaryusza trustu, doszedł w r. z. kwoty 90 mil. kor. Ani nie ruszając palcem otrzymuje on co miesiąca z kasy towarzystwa 8 mil. kor. Wartość całego przedsiębiorstwa podana jest w książkach na 1 546,544.234 dol. 65 cts. tj. 7.500 mil. kor.

A amerykański trust stalowy istnieje dopiero od lat sześciu. Ćwierć wieku temu Carnegie powiedział: „Nie możemy konkurować w handlu światowym z Anglią. Anglia robi stal za połowę tej ceny, którą my tu płacimy“. A dziś Ameryka produkuje połowę całej stali na ziemi, sprzedaje przedmiotów ze stali za granicą za 480 mil. kor., a Anglia jest jej najsolidniejszym odbiorcą.

Głównym macherem trustu stalowego stał się sam Carnegie zupełnie mimo własnej woli.. Obecnie Carnegie trustem się nie zajmuje, na czele tegoż stoi dziś Pierpont Morgan z grupą milonerów stalowych i z wielu techniczno przemysłowych przedsiębiorstw z przed sześciu laty, stał się trust dzisiaj jednem, czysto finansowem, którego celem jest wyciągnięcie jak największych dywidend. Kierownikami trustu nie są teraz techniczne kantory w Pittsburgu i Chicago, lecz nowojorskie banki na Wallssreet.

Jeszcze przed 6 laty były zakłady żelazne i stalowe Ameryki w rękach Carnegiego i jego 40 młodych towarzyszy, pozbieranych z ulic, chłopaków w których Carnegie odgadł rozsądne głowy, zamiłowanie do pracy, obowiązkość, entuzyazm i dążność do zrobienia majątku. Poumieszczał ich w w swych kantorach, a po paru już miesiącach czy latach powysuwał i na odpowiedzialne stanowi-

---

8

Br. Jerzy Ompteda.

HISTORYA DWÓCH SERC.

ROMANS.

(Ciąg dalszy.)

— Pan Donner. Tak. Ale nie wiem, czy to wystarcza.

Mówiła to z pewnem wahaniem, jak gdyby wolała powiedzieć wprost, że to za mało.

Tondern zaś musiał się śmiać z „pana Donnera“ i sięgnął do pugilaresu po kartę wizytową. Ale nie miał żadnej. Wydarł więc z notatnika kartkę i nakreślił na niej ołówkiem swe nazwisko i adres.

Chciał właśnie wręczyć jej tę kartkę, gdy nadbiegła siostra i rzekła:

— Lolo, Baltzerowi nas szukali i gniewają się. Mówiłam ci, że tak będzie. Chodź zaraz, bo na seryo się pogniewają. Tyś wszystkiemu winna, ty chciałaś usiąść w loży...

Tondern to słyszał. A więc ona chciała być w jego towarzystwie? Ponieważ tymczasem starsza siostra młodszą już pociągnęła, pobiegł za nią kilka kroków i wsunął jej w rękę karteczkę, szepcząc:

— Jeżeli będzie mi kiedy wolno towarzyszyć pani w przejażdce na kole, proszę, napisz pani pod moim adresem.

Nie mógł widzieć jej twarzy. Dziewczęta biegły prędko. Ale w świetle nowej rakiety zdawało mu się, że raz jeszcze zobaczył bladą twarzyczkę, czarne oczy i bogate, ciemne włosy. Potem obie znikły.

Całe spotkanie wydało się Tondernowi snem.

Stał zapatrzony, gdzie obie znikły. Snop rakiet wzniósł się w górę, zatrzeszczało jakby kto orzechy tłukł, zajaśniało mnóstwo różnokolorowych kul i zapadła ciemność. Ognie sztuczne były skończone. Z sali dochodziły już tony muzyki i cały tłum tam popłynął. Teraz miały się rozpocząć tańce.

Rehn położył rękę na ramieniu swego przyjaciela:

— Najlepsza chwila zgubić się.

— Nie chcesz tańczyć? — zapytał Tondern.

Tamten jednak ziewnął.

— Co, może z tą, która ma sowią twarz? Nie możesz tego odemnie żądać. Mam dość tego wszystkiego. Wysadziliśmy prokurzystę i twoja była ostatecznie passabel. Ale moja? Odniosłem zwycięstwo iście pyrrhusowe. Mam tego dość i z tą nie poszedłbym raz na około sali.

Miejsce około podium było już zupełnie puste. Obaj przyjaciele byli zupełnie sami. Tonderna dotknęło wyrażenie, jakiego on o Loli użył: passabel! Ale dlaczego go dotknęło, nie wiedział. Dość, że był podrażniony. Przypomniał sobie także teraz, że nie otrzymał od niej kwiatka. Wreszcie rzekł krótko.

— Dobrze. Chodźmy.

Poszli przez opustoszały ogród do gospody, zabrali swoje maszyny, które ciągle stały w sieniach, zapalili latarnie i pojechali drogą do Drezna.

Rehn jechał przodem, gwiżdżąc jakąś wesołą melodyę.

Hrabia Tondern zaś myślał tylko o swojej znajomej i ciągle zapytywał siebie: czy ona napisze?

III.

Każdego dnia czekał hrabia Tondern na list, lecz list nie przychodził. Może zgubiła kartkę. A może siostra, której ona się obawiała, podpatrzyła kartkę. A może ona tylko nim się bawiła, a on wziął rzecz na seryo?

W hotelu Europejskim przy ulicy praskiej, w którym mieszkał, kazał sobie podać książkę adresową i przeglądał jej kartki. Lecz na nic to mu się nie przydało. Nie znał przecież jej nazwiska. Gdyby przynajmniej był wiedział, czem jej ojciec handluje. Ale tak, kupiec... Kupcem jest w Dreźnie każdy trzeci człowiek.

Potem całemi dniami jeździł na kole po wielkim ogrodzie i przyległych ulicach, nigdy jej jednak nie spotkał. Pojechał także do gospody pod bicyklem. Rehn chciał mu towarzyszyć, ale Tondern się wymówił. Rehn brał życie zbyt realnie, uwagi jego mogły go więc drażnić.

Ogród gospody „pod bicyklem“ był pustym. Była to pora dla jednych cyklistów za późna, dla innych za wczesna, jak wyraziła się dziewczyna usługująca. Hrabia Tondern zapytał o ekspedyenta pana Baltzera. Odpowiedziano mu, że od czasu wielkiej uroczystości R. F. V. B. nie był tutaj. Natomiast pan Köhnemann i pan Hermann byli dzisiaj rano. Tondern począł się ostrożnie wypytywać, czy byli sami. Tak, sami. Pan prokurzysta Hermann miał do załatwienia z gospodarzem jeszcze jakieś rachunki z pamiętnej uroczystości.

Tondern zostawił swą maszynę i poszedł główną aleą w głąb ogrodu. Słońce przebijało się przez gęstwinę liści i rzucało zielone refleksy na żwir ścieżki. Na okół była wielka cisza, nastrajająca do marzeń. Tondern doszedł do podium, którego deski, w słońcu rozgrzane, szerzyły zapach żywicy.

Z niedalekiej dziecinnej strzelnicy stara kobieta zapraszała Tonderna, aby spróbował parę strzałów. Trzy za dziesięć fenigów. Tondern uśmiechnął się i dał się skusić. Kobieta podała mu karabinek, potem nacisnęła sprężynę i blaszany jeleń, mający na sobie tarczę, przesunął się po drucie.

Tondern strzelił, lecz chybił, chociaż jeleń powoli się posuwał. A ileż on żywych jeleni położył w swoich lasach w Hrada. A tu chybił. Nie miał szczęścia. Stara kobieta namawiała go, aby raz jeszcze strzelał i proponowała inny cel: blaszaną cyklistkę, która spada z siodła, gdy zostanie w serce trafioną. Tondern był jednak przesądny.

— Jak można strzelać do cyklistki. Przecież ja także jestem cyklistą.

— Ależ wszyscy panowie cykliści strzelają do cyklistki — odpowiedziała stara kobieta prawie obrażona.

Tondern coś zamruczał i poszedł dalej ku Elbie. Nad brzegiem, w miejscu naprzeciw wysepki, zatrzymał się. Spostrzegłszy kilka łodzi, przywiązanych w malutkiej zatoce, odwiązał jedną z nich, przepłynął boczne koryto rzeki, nie szersze w tem miejscu jak sto kroków i wszedł na wysepkę.

Wyobrażał sobie, sam nie wiedząc dlaczego, że tu musi znaleźć bladą cyklistkę, za którą szukał. Przeszedł całą wysepkę, a potem wspiął się do altanki, uwieszonej między gałęziami lipy, znowu wyobrażając sobie, że tam ją znajdzie. Ale jej nie było.

Smutny usiadł na ławeczce i rozglądał się dokoła. Przed nim rzeka toczyła swoje żółte fale. Przy drugiej, dużej wyspie, naprzeciw zamku Pillwitz, stał parowiec, pomalowany na zielono i biało. Po za nim rzeka była pusta, nie było na niej żadnego okrętu ani nawet żadnej łodzi. Tondern obrócił się ku drugiej stronie, gdzie rzeka zataczała łukiem ku Pirnie. Na horyzoncie majaczyły się szczyty gór saskiej Szwajcaryi.

(C. d. n.)

ska i podopomagał im do „zrobienia milonów". A Carnegie sam. Ma duży respekt dla wiedzy, wydaje miliony na szkoły i biblioteki, a prócz rybołowstwa lubi dobre książki. Z swoich prac literackich jest bardziej zadowolony, niż z tryumfów finansowych.

Sam nie miał wiedzy i posiadał jedynie energię oraz pracowitość. To co zrobił dla przemysłu stalowego, to było uproszczenie produkcyi stali, skupienie jej o ile możności w swych rękach i obniżenie ceny. Już w dziewięćdziesiątych latach produkcya ta tak wyrosła i na wskutek tego mógł Carnegie ceny tak obniżyć, że począł zagrażać poważnie innym stalowniom. By je nie połknął, należało go usunąć. Wziął się do tego Rockefeller, którego majątek jest większym od majątku Carnegiego. Nie zadawalał on się zagarnięciem całego przemysłu naftowego. Wspólnie z Morganem powziął myśl utworzenia trustu stalowego. Do tego było potrzeba wykupić stalownie i kopalnie Carnegiego. Ale Carnegie zażądał za swe zakłady 1.200,000.000 kor. Rockefeller uważał, iż cena ta zbyt wysoką i wolał rozpocząć z przeciwnikiem walkę, celem odosobnienia go i pobicia. Ale nie znał potęgi Carnegie. Mały szkot bronił się jak lew i zamiast zostać pobitym, bił innych. Gdy wrogie mu wielkie towarzystwo koksowe podniosło ceny, zagroził, że kupi 100 km. kwadr. ziemi, w której znajduje się koks i będzie sam pokrywał swe zapotrzębowanie koksu.

Gdy rozmaite fabryki wagonów, pił i gwoździ stalowych próbowały gdzie indziej kupować stal, Carnegie groził, że sam pozakłada takie fabryki. Gdy Rockefeller podwyższył mu frachty na stal na jeziorach, Carnegie odrazu wybudował ośm parowców ciężarowych o 10.000 tonach każdy i począł sam swą stal transportować.

Gdy nakoniec i kolej pensylwańska podniosła cenę za frachty, Carnegie założył własną kolej na kilkuset kilometrach od Pittsburga do wybrzeży morza atlantyckiego. Każde więc uderzenie przeciwnika odparowywał z przedziwną zręcznością. Morgan więc zwrócił się znów do zastępcy Carnegiego z zapytaniem czy „król stalowy" sprzeda swe przedsiębiorstwa.

Carnegie zaczął rachować. Przed siedmiu laty zakłady swoje skapitalizował na 120 mil. kor., Ale ponieważ w 1890 przyniosły dochodu 200 mil. k., więc uważać je należy za dobrze procentujące się przedsiębiorstwa i na tej podstawie należy oznaczyć cenę. 200 mil. kor. przy stopie pięcioprocentowej reprezentują 4000 mil. kor. I ostatecznie Carnegie zażądał w razie kupna 487,416.640 dol. czyli prawie dwa i pół miliarda koron, a więc cenę dwa razy większą, aniżeli poprzednio.

No i dostał tyle. A trust stalowy mógł się zorganizować. Morgan skapitalizował go za 5000 mil. kor. Około 60 procent całej produkcyi stali w Ameryce, 12—14 mil. ton rocznie dostało się w jedne ręce. Oto początek słynnej United states Steel Corporation. Wkrótce jednak, kiedy przyszły silne krachy amerykańskie i zastój w interesach, akcye stalowe spadły do 50 prc. rzeczywistej wartości. W r. 1905 poprawiła się sytuacya, akcye powróciły do dawnej wysokości, nowe miliony włożone w przedsiębiorstwo procentowały się doskonale, tysiące robotników przybyło. Trust buduje nowe fabryki, otwiera nowe miny, zakłada nowe miasta, a wszystko w nowoczesnym stylu i komforcie.

Na miejscu dawnych mułów funkcyonują dziś kolejki i lokomotywy elektryczne, w zakątkach kopalń umieszczono wentylatory, a w kopalniach pozakładano światła elektryczne. Robotnicy mieszkają w ładnych domkach, a czynsz za pokój w domach folwarcznych wynosi przeciętnie 10 kor. Płace robotników wynoszą od 360 do 720 kor. miesięcznie. Na wiosnę 1906 r. rozpoczął trust stalowy budowę nowego miasta Gary, na południowym brzegu jeziora Michigan, niedaleko Chicago, a w przyszłym roku zamieszka je 18000 robotników. Na budowę pieców i stalowni wydano 360 mil. kor. Na miejsce dawnych parowców zakupiono nowe, każdy na 10000 ton.

W Yongston wybudowano nowe stalownie za 100 mil kor., które zatrudniają 10000 robotników. Ceny stali, które w 25 latach wahały się między 85 a 360 kor. za tonę, ustalił trust na 125 kor., wszelkie usiłowania, by doprowadzić do ich spadku, są i były bezskuteczne.

Morgan potrafił zwalczyć robotnicze związki t. zw. Trade Unions. A strajk 10.000 robotników, należących do związku robotników „żelaznych i stalowych", potrafił trust przetrzymać, złamawszy zupełnie organizacyę robotniczą. Aby robotników zjednać, prócz mieszkań, premii za pracę, podwyżki płac, daje im trust stalowy pewną ilość akcyi przedsiębiorstw do rozporządzenia i kupna na raty. I robotnicy trustu stalowego nie myślą o strajkach. Ciekawe, że wobec solidnego prowadzenia interesów przez trust stalowy, utrzymują się i inne zakłady przy życiu i robią dobre interesa. Jeśli przyjdą złe lata w Ameryce, otwartą będzie dla trustu Europa, w której dziś już interesa robi. Np. samej Anglii posłał trust w r. 1906 wyrobów żelaznych i stalowych za 100 mil. kor.

Oto obraz działalności amerykańskiego trustu stalowego, który reprezentuje równą siłę jak trust naftowy, onegdaj skazany na grzywnę 150 mil. kor. A oba razem, mówią one o bogactwie Ameryki, o potędze finansowej i twórczej milionów. B.

Listy z kraju.

Ze Skałackiego 4 sierpnia

„Hajdamacy".

Nie ma chyba dwóch zdań o tem, że im więcej człowiek umie i im więcej posiada języków, tem mu lepiej i łatwiej na świecie. Jak ptak w przestworzu, a ryba w wodzie, tak człowiek, znający języki, swobodnie może bujać po całym świecie i jak powiadają, nie da się sprzedać. Znajomość języków, to klucz do wszelkich nabytków wiedzy, a oraz tarcza ochronna od inwektyw i napaści, bo wiedząc, co o nas mówią i piszą, łatwo odeprzeć pociski. Starożytne narody uczyły się taktyki i władania bronią, używaną przez sąsiadów, uważając to słusznie za skuteczne zabezpieczenie od nich, choć wtedy wynalazki nie szły tak pospiesznym krokiem i wszyscy mniej więcej podobnym obuchem walczyli. Teraz, jedne narody walczą „Manlicherem", drugie pałkami; jedni zwalczają przeciwnika niezbitymi faktami dziejowymi, z zachowaniem form i etyki odpowiedniej kulturze XX wieku, drugim zawsze najmilsza przewrotność i fałsz Machiavela, obleczone w zwroty i wyrazy ludzi pierwotnych, u których dusza nie zdołała jeszcze poskromić zwierzęcych instynktów swojej doczesnej powłoki. Trudności zatem techniczne w teraźniejszej walce, bez wątpienia znaczne. Ale na cóż człowiek się nie zdobędzie w obronie własnej i swoich bliźnich!

Kujemy w szkołach łacinę i grekę, tylko dla wiedzy, uczymy się po angielsku i włosku dla wygody i pożytku, uczmy się koniecznie także i po rusku, w celu ratowania naszej ludności. Prawda, że język ten najeżony kolcami swojego nieeuropejskiego alfabetu, broni przystępu do siebie. Ale kto choć przed czterdziestu laty czytał i tłumaczył, opiewane przez Homera przygody chytrego Ulissesa, ten przy dobrej woli i cierpliwości potrafi przeczytać i „Hajdamaków" Petryckiego.

Że to właśnie pismo z pomiędzy liczych pism „ukraińskich" tego samego pokroju wymieniam, tem się tłómaczy, że je jako organ posła z mojego okręgu, specyalnie pilnie odczytuję. Skoro bowiem Pan Bóg nie dał nam sił, by ochronić ludność od tak nieszczęśliwego dla niej wyboru, który głównie duszpasterzom ruskim zawdzięcza, pragnę chociaż wiedzieć, jaką „strawę duchową" przyprawia ten pan swoim wyborcom, za parawanem nietykalności poselskiej.

Dla mnie nie jest żadną niespodzianką ten wyskok trucizny moralnej, jaki przysiąka to pismo, — bo po takim autorze trudno czego innego się spodziewać. Zresztą to było celem mandatu, żeby z poza płotu nietykalności, tem zjadliwsze miotać pociski. Ale za cóż ten nieszczęsny lud nasz ma być skazany na takie zniszczenie moralne? Czyż to jest celem tej „oświaty ludowej"? Na to ustawy zmuszają włościan do posyłania dzieci do szkoły, od której z płaczem się bronią, żeby nauczywszy się czytać i przyszedłszy do wieku, były tem bezbronnem naczyniem, w które przewrotni pismacy, bezkarnie wlewają: kwas, żółć i gorycz swoich spaczonych umysłów, a oraz zarazki najstraszniejszych chorób moralnych, wylęgłych w ich zdziczałych nienawiścią sercach! Do martwego naczynia miedzianego, gdy nalejesz kwasu, to proces z tego zetknięcia powstały, niszczy je i wyżera; a jakież spustoszenie wszelkich przyrodzonych, i z katechizmu nabytych pierwiastków etyki chrześciańskiej, sprawia w prostych, nie oświeconych duszach, taka systematyczna injekcya jadu, złości, nienawiści i nieuzasadnionej żądzy zemsty i odwetu, za „coś", czego one, ani rozumieją ani odczuwają, ale o czem myśl ciągła, utrzymuje je w nieustannem chorobliwem podnieceniu i trwającej gorączce. Wszak środków trujących ciało, nie wolno dowolnie sprzedawać, a celem usunięcia fatalnych skutków nieopatrznie zażytej trucizny, używamy stosownych przeciwśrodków. Dlaczegoż porządek społeczny pozwala tak swawolnie frymarczyć drukowaną trucizną, której niszczące działanie stokroć straszniejsze od tamtej? Szczypta trucizny zabija jedno ciało; ale przewrotne pismo truje setki dusz, jak zatruty papier muchy i nie ma możności zadać każdej doraźnie ratującego antidotum.

Moralności podwaliną i cechą znamienną jest „prawda", ta prosta, więc najkrótsza droga do umysłu prostaczków. „Prawdy" nie zastąpi żaden talent, ani zręczność. — Przeciwnie, im więcej tych darów Bożych bez „prawdy", tem gorsze obałamucenie i większą szkodę sprawia pismo w umysłach nieuświadomionych, nie zdolnych odróżnić ziarna od plewy. Jedne „bajki", choć nie prawdziwe, mogą przynosić pożytek, jeśli zawierają naukę moralną. A choćby jej nie miały, nie wyrządzają szkody.

I na tem polu mógłby wydawca „Hajdamaków" wybitnie się odznaczyć, byle — zmienił tytuł pisma, na „Hajdamackie bajki". Wtedy treść jego tyleby robiła wrażenia na umysłach prostych i nieoświeconych, dla których jest przeznaczona, ile teraz robi na umysłach trzeźwych i uświadomionych. A przynajmniej p. wydawca nie obciążałby swego sumienia. Nie można zresztą odmówić „talentu" pisarzom „Hajdamaków", — oczywiście w tym sensie, jak się mówi np. o „talencie" zręcznego włamywacza, albo wykrętnego kauzyperdy. I gdyby nie ta świadomość, że to jest pisane z zimnem wyrachowaniem, na to żeby ludność naszą utrzymać w ciągłem, błędnem mniemaniu, że jest przez nas krzywdzona i uciskana, i że krwawy odwet na nas, jest patryotycznym jej obowiązkiem, a oraz, że każde niemal słowo tego pisma jest pilnikiem ostrzącym tę sztucznie a systematycznie wpajaną nienawiść i wstręt do wszystkiego, choćby najlepszego, co nie wyszło z rąk „Czerwonych" jakiejkolwiek narodowości, lub, co broń Boże, zdradza jakiś ślad pochodzenia polskiego; — to są tam rzeczy tak komiczne, że pobudzają do śmiechu i podziwu przewrotnego dowcipu autora.

N. p. w numerze ostatnim jaki miałem w ręku, twierdzi autor, że posłowie staro-ruscy w parlamencie tak zwani przez niego „Kacapyki", tak ścisłą przyjaźnią złączeni są z „Kołem polskiem", zwanem przez autora: „wselacka swołocz", że p. Markow, zwany „galicyjskim błaznem", przemawiał po rosyjsku, z namowy p. Abrahamowicza!, i że „Koło polskie" nakłania p. Markowa do wniesienia protestu przeciw przemawianiu w izbie w języku „ukraińskim". Czyż można nie śmiać się, zwłaszcza gdy się czyta na innem miejscu, o tym dzikim występie śpiewackim posłów ruskich razem z syonistami, że „to był najpoważniejszy i najuroczystszy protest polityczny przeciw bezprawiom polskim w Galicyi, jaki kiedykolwiek reprezentacya ludów Austryi słyszała!", że „posłowie wszystkich narodowości, z pełnem zgrozy skupieniem słuchali tej potężnej, szarpiącej nerwy pieśni, tego rewolucyjnego hymnu narodowego — Szcze ne wmerła Ukraina, — poznając, że to jest ruska „Marsilleza"! A jeszcze większe, (chyba nie dodatnie) wrażenie sprawiło na nich, kiedy posłowie ruscy pod batutą dr. Trylowskiego, „pokażnego męża, o jasnej brodzie, zaśpiewali w poważnej postawie, pieśń buntu Rusinów; dziką piosnką bojową: „Ne pora, ne pora..."! — I ten ciemny ludek wyborczy, któremu ci panowie przysięgli stworzyć raj na ziemi, byle ich wybrano, ma się teraz radować śpiewem swoich wybrańców w izbie. Szczęśliwie chyba dla niego, że na tak znaczną odległość. To prawda, że tym biednym, zbałamuconym wyborcom „ne pora" doczekać się tych dobrodziejstw od „posłów", jakiemi obiecywali obsypywać ich „kandydaci poselscy".

Tendencya „Hajdamaków", równie jak innych podobnych pism, jak „Swoboda", „Hromadzki hołos" etc., jest czysto wywrotowa, rewolucyjna, bez żadnej maski, a na każdej stronie doradzane są środki, prowadzące do tego upragnionego celu, tj. krwawego przewrotu. Cokolwiek tchnie jakimś ładem i rządem, temu „hańba", a „sławno" jest krew, pałki i stryczek na wszystko, co „lackie" i prawem unormowane. Ze wściekłością rzuca się autor na spokojną odezwę Rady narodowej do Polaków, wzywającą do dalszej organizacyi, do pilnowania czytelń etc. i wystawia ją jako najstraszniejszy zamach na naród „ukraiński", jako „pochód na Ruś Czerwoną" i jako „strategiczny plan Nowego Kazimierza i wszechpolskiego plantatora", jak nazywa p. T. Cieńskiego.

A w tym samym numerze nawołuje studentów ruskich, żeby ani chwili wakacyjnej nie marnowali na odpoczynek i zabawę, tylko nieustannie pracowali w swoich wioskach nad uświadamianiem ludności, (oczywiście w duchu „Hajdamaków") i cały swój czas wolny poświęcali usilnie agitacyi wyborczej do sejmu, tak, żeby do tych wyborów „naród ukraiński" stanął jak „niezwalczona, uświadomiona armia", bo zbliża się „ważna chwila".

W drugim zaś artykule wzywa najgoręcej cały „naród ukraiński" do zakładania we wszystkich wsiach i miastach „Siczy", a do kasowania „Sokołów", tłumacząc, że „Sokołów" mają Polacy, więc to wygląda na małpowanie i całkiem jest niewłaściwe dla „ukraińców". „Sokół" to „pańska zabawka dla inteligentów i moskalofilów", a „ukraińcom" przystoi tylko „Sicz", w której sami chłopi są organizatorami i która ma „historyczne tradycye bojowe i nieraz, odczuwając najboleśniejsze rany ludu, tak serdecznie za nim obstawała, że buntowała się przeciw własnym hetmanom". „Sicze", powiada autor, „muszą być wszędzie, bo cały naród odczuwa ich konieczność, one bowiem biorą początek w duszy narodu i obejmą całą Ukrainę, jako wojsko bojowe przeciw moskalofilom i Lachom". To jest w każdym razie szczere i otwarte. Niemniej jednak dające poważnie do myślenia. Bo, o ile naszych towarzystw gimnastycznych nikt nie pomawia o wojownicze zapędy, a żaden Polak nie marzy o krwawej walce z Rusinami; to jednak, takie hordy Siczowe, ciemne i roznamiętnione w rękach rewolucyjnych fanatyków, mogłyby grubych awantur narobić, przy braku wielkiej czujności i energii kompetentnych sfer.

Tak jak „prawdy" nie doszukać się w „Hajdamakach" również i oznak prawdziwego patryotyzmu ruskiego; ledwie odosobnione są ślady, tam chyba, gdzie chodzi o wypaczenie niezbitych zdarzeń dziejowych, będących zasługą i chlubą narodu polskiego, albo o przeprowadzenie szalbierczego dowodu, że cokolwiek Polacy robili i robią, zawsze myślą przewodnią ich było i jest zgnębienie i zniszczenie narodu „ukraińskiego". A każdy taki dowód kończy nauka moralna: „Zatja sobi narode". Zanotuj sobie w pamięci narodzie, jak przyjdzie wkrótce krwawy odwet! Zapewne, kiedy już „Sicze" będą dostatecznie wyćwiczone do szturmu na Lachów.

O ile treść tych pism jest w najwyższym stopniu szkodliwa i destruktywna, także i forma ich nietylko nie może być czynnikiem cywilizacyjnym dla czytelników wiejskich, ale przeciwnie, stwarza zdziczenie języka i obyczaju. Nasz włościanin ma tyle wrodzonej delikatności, że mówiąc o naszem bezrogiem zwierzęciu domowem, powiada zawsze: „z przeproszeniem świnia". Tego o wydawcy „Hajdamaków" powiedzieć się nie da, bo on pisząc o najpoważniejszych i najzasłużeńszych ludziach, którzy nie podzielają jego przewrotnych idei, nazywa ich wyrazami najgrubszymi i najprostszymi, jakich nasz włościanin tylko w stanie nietrzeźwym i w karczmie używa. I z tego więc względu te pisma „ukraińskie" zgubne są dla ludności, bo wprost cofają jego kulturę i tak mało rozwiniętą, a wrodzone uczucie delikatniejsze barbaryzują.

Z poczucia obowiązku obywatelskiego zdaję sprawę z tego, co czytam, a mądrzejsi i możniejsi niech się oglądną rychło za skutecznymi środkami ochronnymi, których koniecznej potrzeby niepodobna przeoczyć.

Bronisław Rozwadowski.

Prosimy o rychłe odnowienie prenumeraty celem uniknienia przerwy w dalszej przesyłce dziennika.

Pp. Prenumeratorów, wyjeżdżających na wieś lub do kąpiel, upraszamy o nadesłanie 40 hal. za każdą zmianę adresu, tudzież o dokładne podanie poczty i miejsca chwilowego pobytu.

Kronika.

Lwów, dnia 6 sierpnia 1907.

Kalendarzyk.

We środę 7 sierpnia Kajetana Wyz. — Gr. kat. Uspen ś. Anny. — Kal. słow. Oleha św.
Wschód słońca 4·50, zachód 7·20

We czwartek 8 sierpnia Cyryaka M. — Gr. kat. Jermołaja. — Kal. słow. Niezamyśla.
Wschód słońca 4·52, zachód 7·18.

W piątek 9 sierpnia Romana i Sak. — Gr. kat. Pantelejmona. — Kal. słow. Borysa.
Wschód słońca 4·53, zachód 7·15.

— **Wiceprezydent wyższego sądu kraj.** dr. Jan Dylewski, wyjechał za kilkutygodniowym urlopem.

— **Mianowania.** Cesarz nadał prywatnemu docentowi na wszechnicy Jagiellońskiej, dr. W. Demetrykiewiczowi tytuł nadzwyczajnego profesora.

Wyższy sąd krajowy w Krakowie zamianował auskultantami praktykantów: B. Szancera, F. Kurtykę i C. Nieduszyńskiego.

— **Odznaczenie.** Cesarz zezwolił damie orderu Krzyża gwiaździstego i pałacowej, Małgorzacie z hr. Lichnowskych hr. z Brzezia Lanckorońskiej, przyjąć i nosić krzyż dewocyjny orderu kawalerów maltańskich.

— **Centnar interpelacyj.** Pod tym tytułem wiedeński korespondent „Czasu" wskazuje na nadużywanie prawa interpelacyi w parlamencie wiedeńskim, co bardzo smutno świadczy o kwalifikacyi intelektualnej i moralnej wielkiej liczby posłów austryackich.

Mam przed sobą — pisze korespondent „Czasu" — trzy grube tomy publikacyi parlamentarnej, zawierające wnioski i interpelacye wniesione tylko na trzech ostatnich posiedzeniach w takiej liczbie, że drukarnia nie mogła wcześniej nadążyć z ich ogłoszeniem. Tom z ostatniego posiedzenia zawiera 553 stronic wielkiej czwórki, poprzednie tomy nie o wiele mniej. Publikacya ta budzi bardzo smutne refleksye. Interpelacye w Austryi trzeba będzie chyba liczyć na cetnary! Wystarczy przeglądnąć pobieżnie tomy, żeby przekonać się, że z górą $^{9}/_{10}$ szczególnie interpelacyj, bądź to odnosi się do rzeczy nie wchodzących wcale w kompetencyę rządu, bądź też do wypadków drobiazgowych, mniej nawet jak lokalnego znaczenia, nie mówiąc już o sporej liczbie zapytań bez sensu, na chybił trafił wniesionych, gdzie według ludowego przysłowia nawet, dla najmądrzejszego odpowiedź staje się niemożliwą.

W oczy uderza przedewszystkiem fakt, że poważni posłowie, ogółem wszyscy, którzy mają w parlamencie wpływ i znaczenie, figurują w tym spisie w liczbie jak najmniejszej, natomiast roi się od nazwisk posłów, których głosu ani w izbie, ani w żadnej komisyi nikt nigdy nie słyszy. Typowym przykładem są nasi ludowcy, szczególnie co do tekstu interpelacyj, tekstu tak niedbałego, że rząd przy najlepszej chęci nawet odpowiedzi dać nie może. Za to potem w „Przyjacielu Ludu", a z międzypartyjnej kurtnazyi, czasem i w „Walce Klas", czytamy wykaz „pracy" ludowców tak obfity, że biedni wyborcy widzą już w bliskości istny raj na ziemi. Na takie bałamucenie opinii publicznej, przez interpelacye nie mam innego wyrazu jak nieuczciwość. P. Stapiński, czy inny przewódca grupy opozycyjnej, wie bardzo dobrze, że gdyby rząd istotnie odpowiedzieć chciał (jak to teoretycznie jest jego obowiązkiem) na interpelacye, wnoszone w liczbie 100 do 200 na każdem posiedzeniu, to nie tylko cała praca parlamentarna musiałaby stanąć, ale jeszcze wypadałoby przez 24 godzin na dobę te odpowiedzi odczytywać. Co więcej: gdyby co do wszystkich poruszonych w interpelacyach wypadków, wdrożyć chciano poważne dochodzenia, władze rządowe musiałyby również wstrzymać każdą inną czynność. Mimo to wystarczy list lub korespondentka wyborcy, że tam a tam krowa dworska wypasła mu trawę, wypadła z mostu deska, lub opóźnił się list, ażeby pojawiła się interpelacya z sakramentalnym zwrotem, „co zamyśla wysoki urząd uczynić, ażeby zapobiedz? I wszystkie te bzdury drukują gazety ludowe, sławią jako czyny swoich posłów i wyrzucają innym, że się dali uprzedzić. W ten sposób życie parlamentarne coraz bardziej się zatruwa, bo i we wszystkich stronnictwach jeden i drugi, bardziej eksponowany poseł, powie sobie wreszcie, „szkoda mojej poważnej pracy, kiedy inni uprzedzają mnie w popularności przez głupie interpelacye" i puści się z nimi w zawody.

Olbrzymie tomy dołączane do stenograficznych protokołów będą kiedyś po latach okazywane jako curiosa, a nazwiska interpelantów i wnioskodawców dojdą u potomności do rozgłosu zgoła innego, jak dziś u ich wyborców.

Biblioteka wniosków i interpelacyi jaka urosła w minionej krótkiej sesyi budzić musi u prawdziwych zwolenników parlamentaryzmu bardzo poważne obawy. Składa się na nią i niski poziom wielkiej liczby nowo wybranych posłów i wielka śmiałość w traktowaniu wyborców. Jeden i drugi z tych panów wie bardzo dobrze, że do pracy parlamentarnej nie dorósł, ale wie też, że o wiele przerósł innych w — braku sumienności. Z całą więc świadomością i całym cynizmem rzuca na szalę blichtr przeciwko pracy i wie niestety, że zwycięży. Znam posłów, którzy do tego stopnia zatracili poczucie obowiązków, iż jawnie chełpią się, iż umieją „lepiej obchodzić się" z wyborcami od tych, którym sami przyznają większy talent. „Obchodzenie się z wyborcami" stało się — samo dla siebie sztuką i wielkim przymiotem, który zapewnia zwycięstwo.

Kronika lwowska.

✕ **Z miasta.** Zaczął się wczoraj nowy tydzień. A że poniedziałek jest znamiennym dniem dla seryi siedmiu dni, przeto wypadki i wydarzenia, jakie w ostatnich dwudziestuczteru godzinach się zdarzyły, aura, temperatura itd., są znamienne na przeciąg całych dni siedmiu. Tak przynajmniej twierdzi każda gospodyni, której służąca zbiła w poniedziałek szklankę czy talerz, której kucharka przypaliła pieczeń a mąż powrócił do domu późno w trochę podchmielonym humorze. A co w takim razie będzie z urzędem budowniczym, naturalnie tym miejskim. Wczoraj tyle skarg słyszeliśmy na te rozmaite porządki przy domach nowobudowanych, na cegły latające w powietrzu, rzucane ręką niewprawnego żonglera od kielni. Wczoraj jakiś jegomość przebił sobie nogę na gwoździu, wystającym z deski, położonej na chodniku przed już dokańczanym domem. Wczoraj komuś spadła na głowę belka z rusztowania, a znów kogoś innego murarz ochlapał wapnem i zniszczył mu nowe ubranie. Na to byłaby jedna rada; cegły takie, deski, belki itd. nosić pod ratusz i rzucać przez okno do miejskiego urzędu budowniczego. Tylko taki system mógłby pomódz. Albo jeszcze jeden, znosić to wszystko do sali prezydyalnej i składać u stóp prezydenta miasta. Kiedyby cała sala zawalona została po sufit i ściany, znalezionoby pewno, zwoławszy trzy ankiety, radę na zaradzenie owemu procederowi.

✕ **Za występek przeciw moralności** wobec nieletnich dzieci, aresztowano dziś w południe na pl. Dąbrowskiego Izydora K., em. urzędnika sądow. i właść. realn.

✕ **Kroniczka brukowa.** Złotnik Abraham Rops, oskarżył w policyi Arona Lachsa, czeladnika złotniczego, który wyłudził od niego kolczyki brylantowe, wartości 800 k., zastawił je potem w Banku hipotecznym, a sam wybrał się do Ameryki. Za Lachsem wysłano listy gończe. — Dwaj młodociani rabusie okradli wczoraj strych domu przy ul. Żółkiewskiej l. 33. Pomysłowi młodzieńcy wzięli klucz od strychu od służącej gospodarza, jako blacharze, którym polecono naprawić dach i rozgospodarowawszy się tam, ogołocili strych z bielizny i innych rzeczy, wartości 100 k. — Filipinę Wolf, służącą pp. Bergerów przy ul. Teatralnej okradł ktoś, dostawszy się do kuchni mieszkania i zabrawszy z kufra rzeczy, na kwotę 200 prawie koron.

Gustaw Reinhard, woźnica, dostał się przy ul. Torosiewicza pod koła własnego wozu, napełnionego cegłami i odniósł wewnętrzn. obrażenia. Odwieziono go do szpitala.

Kronika krajowa.

Rekollekcye dla ks. katechetów odbędą się w tym roku nie w Tuchowie, jak ogłosił „Dwutygodnik Katechetyczny", lecz ponownie w Krakowie u OO. Misyonarzy na Stradomiu. Rozpoczną się 25. sierpnia wieczorem. Światłe kierownictwo i serdeczne przyjęcie, jakiem odznaczały się dotychczasowe rekollekcye u ks. Misyonarzy, zachęcą wielu do uczestnictwa. Zgłaszać należy się wprost do Przew. O. Superiora w Krakowie (Stradom).

Bandytyzm w Galicyi. Z pod Gwoździca piszą nam: Dominik Bołoz Antoniewicz, właściciel dóbr, zamieszkały w Winogradzie koło Gwoździca otrzymał anonimowy list następującej treści: „Skazuje się Pana na zapłacenie sześciu tysięcy koron na cele naszej partyi. Kwota ta ma być złożona dnia dwudziestego piątego czerwca b. r. na stacyi kolejowej w Gwoździcu w piecu poczekalni drugiej klasy. Jeżeli Pan kwoty żądanej nie złoży, lub jeśli Pan będziesz usiłował odkryć sprawców, zostaniesz Pan ukarany śmiercią lub kalectwem. Partya Rewolucyjna". Pan Bołoz-Antoniewicz, przerażony wspomnianemi pogróżkami, udał się na posterunek żandarmeryi w Gwoździcu i z porady tegoż dnia 24. czerwca złożył na wskazanem miejscu zapieczętowany list próżny. Tymczasem żandarmerya wdrożyła odpowiednie kroki i gdy dnia następnego podejrzane indywiduum, korzystając z chwilowego zamieszania podczas nadejścia pociągu osobowego z Kołomyi na stacyę, wbiegł do poczekalni drugiej klasy i otworzywszy drzwiczki od pieca, sięgnął po spodziewane pieniądze do wnętrza, stojący na straży pod oknem poczekalni z ramienia żandarmeryi człowiek, zamknął drzwi na klucz, a na wiadomość o tem znajdujący się w pobliżu postenführer żandarmeryi wkroczył do środka poczekalni i ujął ptaszka. Nieznajomy młody człowiek nazwiskiem Willmann, akademik, rodem z Podwołoczysk, obecnie pełniący obowiązki nauczyciela dzieci u gr. kat. proboszcza w Kułaczkowcach pod Gwoździcem, tłumaczył się, że został jedynie przysłany przez jakiegoś nieznanego mu mężczyznę z prośbą, by złożone dla tegoż ważne jakieś dokumenta z pieca poczekalni wyjął i mu wręczył. Żandarm uważając tłumaczenie to jako widocznie zmyślone, przyaresztował Willmana i po przeprowadzeniu w mieszkaniu jego rewizyi, przy której znaleziono pistoletet i rewolwer, oddał Willmana do sądu. Śledztwo sądowe w toku.

Wiec polski. Z Borszczowa piszą nam: D 4 bm. odbył się tu wiec polski, urządzony staraniem, komitetu mieszczańskiego przy udziale przeszło 1500 osób z inteligencyi, mieszczan i włościaństwa. Przewodniczył p. ordynat Czarkowski-Golejewski, poczem przemówił imieniem Kółek rolniczych poseł Artur Zaremba-Cielecki, zwracając uwagę na pracę Kółek rolniczych. Inż. Eustachiewicz nawoływał do organizacyi w duchu narodowym i oświaty, p. Rad omawiał założenie „Gwiazdy" która ma skupić mieszczaństwo borszczowskie ku wspólnej pracy, p. Maksymowicz omówił sprawę budowy Domu polskiego w Borszczowie, który ma być ogniskiem wszelkiej akcyi polskiej w mieście i powiecie i siedzibą towarzystw polskich. O organizacyi kółek rolniczych, których oddział uchwalono założyć w Borszczowie, referował dr. Br. Dulęba, o organizacyi kas Raiffeisena p. Chmielewski, dalej przemówił p. Zamorski. Postawione przez komitet wiecu rezolucye, uznające za podstawę organizacyi narodowej w Borszczowie stow. „Gwiazda", oraz wzywające do składek na Dom Polski, wdrożenia akcyi ekonomicznej, a jako jej zapoczątkowanie założenie kółka rolniczego i kasy Raiffeisena, przyjęto jednogłośnie.

Zakończył obrady wiecowe przemówieniem ord. Czarkowski-Golejewski.

Agitacya wśród górników. Wczoraj odbyły się w 4 miejscowościach powiatu chrzanowskiego zgromadzenia górników, na których uchwalono rezolucye, domagające się: 1) ustalenia płacy robotników akordowych tak, aby zarobek dzienny wynosił 4 kor.; 2) 20% dodatku dla wszystkich robotników; 3) bezpłatnego dostarczenia wszystkich narzędzi pracy; 4) wybudowania kąpieli dla górników w kopalniach itd. Termin odpowiedzi naznaczono do dnia 1. września.

Tragiczny wypadek na manewrach. Ze Stanisławowa donoszą: Wczoraj podczas ćwiczeń na placu Dąbrowa, kapitan 24 pp., Schrauber, ugodził tak nieszczęśliwie pewnego żołnierza końcem szabli, że żołnierz pchnięty w serce, umarł. Winowajca tłumaczy się, że pchnięcie to było przypadkowe.

Żołnierze złodziejami. Policyi stanisławowskiej udało się po długich i żmudnych dochodzeniach, przyaresztować bandę rzezimieszków, która od kilku tygodni w sposób nadzwyczaj śmiały dostawała się oknami do pomieszkań i wykradała biżuterye, ubrania, bieliznę, ogółem co się dało. Do tej bandy należą żydzi-żołnierze: Berisch Steinhorn, szeregowiec 24-go i Dawid Golles false Furman, artylerzysta, oraz Teodor Bezkaczniuk, żołnierz prowiantowy.

Przeprowadzona rewizya w szpitalu i w koszarach piechoty u Steinhorna oraz osobista rewizya u Bezhaczniuka wykryła cały magazyn bielizny, galanteryi i konfekcyi męskiej w łącznej kwocie przeszło 2000 k.

✕ **Okradzenie artystki.** Z Krakowa donoszą: W sobotę przed południem usiadła artystka baletu lwowskiego, p. A. Sachsówna, ze siostrą swoją Wandą na ławce na plantacyach przed teatrem. Do pań tych przysiadła się jakaś kobieta, która wkrótce oddaliła się, a po chwili panna Sachsówna zauważyła, że w torebce, którą na ławce położyła, brakuje 150 koron. Zaczęto poszukiwania za ową kobietą, którą wkrótce odszukano — ale bez pieniędzy. Jest to 28 letnia Franciszka Filipowska, kilkakrotnie już karana.

Kronika powszechna.

§ **Szkoła polska na Batignolles.** Z Paryża piszą: Dnia 30 lipca odbyło się uroczyste zamknięcie roku szkolnego w szkole polskiej na Batignolles. Publiczność, wśród której, oprócz licznie reprezentowanej kolonii polskiej, spostrzedz było można także przyjaciół szkoły, Francuzów ze sfer literackich i nauczycielskich, zebrała się w pięknym podwórcu szkolnym, ozdobionym popiersiami Konarskiego i Czackiego i tablicami pamiątkowemi b. uczniów szkoły, którzy padli na placu boju w 1863 i 1870 r. Zagaił w imieniu rady p. W. Gasztowtt, poświęcając gorące wspomnienie pośmiertne śp. Rustejce i ks. Gałęzowskiemu (po którym stanowisko prezesa rady szkolnej obejmuje dziś p. pułkownik Józef Gałęzowski) a kończąc pełne patryotyzmu przemówienie, wezwał do dalszej pracy pod hasłem: „Dla Polski a przez Polskę do ludzkości". Uczniowie deklamacyami utworów poetyckich i śpiewami patryotycznymi urozmaicili program uroczystości. Za odznaczenie się przy egzaminach lub w naukach otrzymali pierwsze nagrody: Grabiński, Pujkis, Zembrzuski, Swietliński i Sobczyński.

§ **Pawilon pani Walewskiej.** Do „Kur. Pozn." piszą z Paryża: Pan Paul Marmottant, wiceprezes Towarzystwa „Société Historique d'Auteuil et de Passy" znawca stylu „Empire", odkrył na Passy w okolicy przepysznego parku „La Muette" pawilon ogrodowy, zamieszkiwany niegdyś przez panią Walewską. Dokumenta piśmienne stwierdzają tożsamość autentyczną apartamentów, a p. Marmottant nabywszy pawilon i dostrzegłszy z pod nowomodnych ornamentacyj wychylające się ślady poważnego empiru, postanowił odrestaurować dom cały, oddając nadzór tych prac rzeźbiarzowi p. Bolikowskiemu. Sam p. Marmottant posiada bogate zbiory mebli, obrazów w prywatnym swym pałacyku na avenue Raphael, gdzie odtworzył epokę cesarstwa aż do najdrobniejszych szczegółów. Wszystko jest tu stylowe: obicia, świeczniki, upięcia zasłon u okien, kominki, zegary, nawet klamki u drzwi noszą emblemata rzeźbionych koron, palemek, orłów cesarskich i litery N w otoczeniu laurowego wieńca. Oddany wyłącznie pracom i studyom historycznym, p. Marmottant, robi częstsze wycieczki do Włoch, Hiszpanii, odwiedził również i Polskę, robiąc poszukiwania w Wilnie, Krakowie, Warszawie, Poznaniu, a także i w muzeum rapperswylskiem.

§ **Proces anarchistyczny.** W Petersburgu przed okręgowym sądem wojennym rozpoczął się dziś proces przeciw organizacyi anarchistów-komunistów. Według streszczenia aktu oskarżenia, podanego przez „Now. Wremia", organizacya ta, postawiła sobie za cel obalenie istniejącego w państwie ustroju społecznego przy pomocy terroru, zniesienia własności prywatnej i zabierania gwałtem majątku osób prywatnych, oraz instytucyj rządowych na potrzeby propagandy partyjnej. Organizacya wykryta została w okolicznościach następujących:

Do zegarmistrza Abowicza w Petersburgu zgłosił się jakiś nieznajomy z listem od organizacyi bojowej studentów anarchistów, zawierającym żądanie 500 rubli na potrzeby organizacyi. Gdy nieznajomy zgłosił się powtórnie i z rewolwerem w ręku żądał wydania pieniędzy, Abowicz wszczął hałas i nieznajomego ujęto. W trakcie śledztwa okazało się, że nazwisko nieznajomego brzmi Jeganow i że jest on agentem policyi ochronnej w Sebastopolu, z przekonań zaś jest on anarchistą i członkiem bandy, która dokonała już w Petersburgu szeregu rabunków i zabójstw. Na mocy wskazówek Jeganowa are-

sztowano wkrótce całą tę grupę rewolucyjną. Okazało się, że grupa ta między innemi dokonała rabunku kuchni Czerwonego Krzyża, kasy firmy Laferme, zabójstwa studenta Leontjewa, usiłowania rabunku kasy instytutu leśnego itp. Przez czas dłuższy z początku Jeganow, mając stosunki w sferach rewolucyjnych, komunikował pewne wiadomości wydziałowi ochrany, pobierając za każdym razem za to osobne wynagrodzenie. Gdy jednak poznał się w Sewastopolu ze studentem Kjinem, Bortkiewiczem i Leontjewem, porzucił dotychczasowe zajęcie i pojechał wraz z nimi do Petersburga, gdzie cała kompania postanowiła zająć się rabunkami „na podkładzie ideowym" w organizacyi anarchistycznej. Grupa ta posiadała trzy lokale konspiracyjne na wyspie Wasilewskiej, gdzie opracowywane były plany napadów.

Intelektualnym przywódcą bandy był inżynier-technolog A. Cajtlin, działający pod pseudonimem „Marka", rodem z Baku, dokąd udawał się często dla agitacyi rewolucyjnej wśród robotników. Cajtlin był poprzednio członkiem charkowskiego kółka rewolucyjnego, pociągany był za to do odpowiedzialności i pozostawał pod nadzorem policyi. Na zebraniach gruby „Marek" zalecał stale „eksproprjacje", jako najlepszy środek walki z obecnym ustrojem, dowodząc, że pieniądze dają siłę, i każdy powinien starać się o nie drogą rabunków zbrojnych. Zrabowane pieniądze powinne być oddane partyi, najlepiej jest dzielić je zaraz między uczestników rabunku.

Głównym propagatorem tego rodzaju poglądów był W. Alejnikow, anarchista-komunista, prowadzący wykłady o anarchiźmie na kursach Leshafta. Alejników odgrywał wybitną rolę: on to organizował grupy rewolucyjne, drukował proklamacye, tworzył kółka i propagował wśród sfer robotniczych myśl o powstaniu zbrojnem. Był on w stosunku z uczestnikami grabieży w zaułku Fonarnym; z zabranych wówczas 300 tysięcy, otrzymał nawet pewną sumę na dalszą działalność rewolucyjną. Przyjaciółką Alejnikowa była nauczycielka domowa A. Szakołówna, która dzieliła zupełnie jego poglądy.

Najczynniejszym członkiem grupy byli: terorysta student Iljin, oraz anarchista student Gambajew, znany pod pseudonimem „Azyata". W grupie Gambajew zajmował się przechowywaniem broni, podczas rewizyi znaleziono u niego 675 nabojów browningowych. U uczestników organizacyi znaleziono: wydawnictwa rewolucyjne, broń, wytrychy, latarki elektryczne, maski, książeczki kasy oszczędności i w. in. Dla dokonania mniejszych rabunków tworzyły się zwykłe grupki po 4—6 ludzi. Razu pewnego powstrzymano się od rabunku, ponieważ postępowanie studenta Leontjewa wydało się towarzyszom jego podejrzane. Na naradzie postanowiono Leontjewa „usunąć". Dokonano tego, wsadzając mu trzy kule w głowę.

Ostatecznie stanęło dziś przed sądem 24 ludzi w wieku od lat 19 do 36. Czterem uczestnikom grupy anarchistycznej udało się uciec, w tej liczbie studentowi Bortkiewiczowi.

Ruch artystyczno-literacki.

* **Z teatru.** Dyrekcya teatru lwowskiego zaangażowała na przyszły sezon operowy pp. Zboińską-Ruszkowską, która przez ostatnie sezony śpiewała w Warszawie i w nadwornej operze wiedeńskiej, oraz Ignacego Dygasa, tenora opery warszawskiej. Reżyserem opery został p. Władysław Floryański.

W skład personalu dramatu wejdzie na stałe p. Roman Żelazowski. Wiadomość o pozyskaniu dla sceny lwowskiej tak znakomitego artysty, notujemy z radością. Prócz nieocenionych pp. Sosnowskich, ustąpili z teatru lwowskiego z młodszych sił pp. Sławińska i Lenczewski. Oboje przechodzą na sceny warszawskie.

Operetka rozpocznie przedstawienia 17. września „Wesołą wdówką" z p. Miłowską w głównej roli.

Z Warszawy

— Obywatel warszawski, niedawno zmarły Jan Grondzki zapisał testamentem 300.000 rb. na budowę kościoła katolickiego. Kościół ma stanąć w okolicy placu Witkowskiego. Wykonawcą jest ks. arcybiskup warszawski. Ponadto kilkanaście tysięcy rb. zapisał tenże sam spadkodawca na różne cele humanitarne.

— W Ponikwodzie (powiat lubelski) w nocy z czwartku na piątek, siedmiu bandytów wtargnęło do dworu właścicielki majątku p. Koryzno i zażądało pieniędzy. Po zabraniu 110 rb. i złotego zegarka, bandyci przystąpili do rewizyi obecnych w domu mieszkańców dla skontrolowania, czy wszystkie pieniądze im oddano. Gdy opryszkowie przystąpili do osobistej rewizyi syna właścicielki majątku, p. Leona Koryzno, ten szybkim ruchem dobył z kieszeni browniga i dał kilka strzałów do bandytów, raniąc ciężko dwóch z nich; na odgłos strzałów pozostali bandyci zbiegli, uprowadzając z sobą towarzyszy. Na drugi dzień rano w przyległym ogrodzie znaleziono ciało jednego z opryszków, w którym poznano niejakiego Pałczyńskiego, jednego z uciekinierów z więzienia lubelskiego. W ubraniu zabitego znaleziono 50 rb., ukrytych w bucie, oraz plan domu i napadu.

— W pow. gostyńskim w tych dniach bandyci zorganizowali napad na majątek ziemski Łucin, będący w posiadaniu żyda, przybyłego z Cesarstwa. Gdy bandyci zbliżyli się do dworu, na powitanie ich rozległ się niezwłocznie strzał z okna i jeden z napastników padł trupem. To ich stropiło cokolwiek, niespodziewali się bowiem, żeby we dworze wiedziano o ich obecności i zamiarach i żeby wogóle tak szybko rozpoczęła się akcya obronna. Ponieważ strzały nie ustawały, bandyci zabrali zabitego towarzysza i zniknęli w ciemnościach nocy. Po jakimś czasie wrócili jeszcze raz, ale powitani nową salwą strzałów, ustąpili całkowicie i zniknęli w lesie. Okazało się, że we dworze całą obronę prowadził jeden tylko kasyer majątku, który sam strzelał beznstanku, mając podostatkiem nabojów.

— W teatrze w Łodzi powstała podczas przedstawienia onegdaj wieczór panika. Wszyscy widzowie pouciekali, kurtynę spuszczono. Przyczyną paniki było aresztowanie złodzieja. Po uspokojeniu przedstawienie odbywało się dalej. — Wczoraj aresztowano w Łodzi 13 osób podczas rewizyi. Dziś odbywają się dalsze rewizye i aresztowania.

— Oszuści-terroryści zaczęli stosować nowy rodzaj teroru, celem wymuszenia pieniędzy. Zjawiają się mianowicie na różne przedstawienia, gdzie niema zwłaszcza policyi, i grożą skandalem, wywołaniem paniki itp., jeżeli dyrektorzy lub urządzający zabawę nie dadzą im okupu. Taki terror zaczęto stosować głównie na prowincyi, gdzie oszustom udało się wyłudzić pokaźne sumy. Dyrektorzy bowiem obawiają się, że w razie skandalu stracą nietylko dochód za bilety tego dnia, lecz że publiczność przez jakiś czas przestanie wogóle uczęszczać na widowiska.

— Biuro organizacyi syonistycznej w Królestwie polskiem, ogłosiło odezwę, w której zawiadamia, że urządzi osobną konferencyę delegatów z Królestwa, która odbędzie się podczas zebrania syonistów z państwa rosyjskiego w Hadze. Porządek dzienny będzie następujący: sprawozdanie z działalności biura i stanu syonizmu w Królestwie; stan polityczny i wybory, sprawy organizacyjne i agitacyjne, prasa, plan działalności przyszłej syonizmu, gmin, oświaty itd.; wybory członków biura.

Z całego świata.

Wiedeń. Pociąg pospieszny Tryest—Wiedeń, zderzył się dziś rano o godz. 4 na stacyi Spielfeld z pociągiem towarowym. Palacz zabity, 2 maszyniści, dwóch ze służby pocztowej, budnik, odnieśli rany. Z podróżnych zgłosiły się trzy osoby na stacyi Spielfeld jako ranne.

Wrocław. Do „Schles. Ztg." donoszą z Huty Królewskiej, że liczba pracujących wzrosła nieco. Wczoraj wieczorem przyszło do starcia, musiała wkroczyć policya kilkakrotnie w obronie chętnych do pracy robotników; jedna osoba została przytem zraniona.

Lublana. Epidemia tyfusu szerzy się w sposób zastraszający wśród tutejszej załogi. Obecnie leży chorych 43 żołnierzy z 17 pp.

Florencya. Wczoraj odbywał się tu wiec socyalistyczny. Po wiecu, zrewoltowany przemówieniami, jakie na nim wygłoszono, tłum wszczął w mieście awantury, które doprowadziły do starcia z policyą i wojskiem. Podczas tych zajść, wybuchł w dwóch kościołach pożar, podłożony przez rozszalałe gromady awanturników. Tłum nie chciał pozwolić na gaszenie ognia i ustąpił dopiero przed siłą.

Nowy Jork. Przewodniczący trustu naftowego, John Rockefeller, niebezpiecznie zachorował. Wiadomość ta wywołała na giełdzie panikę.

Nowy Jork. Tłum, oburzony z powodu częstych zamachów na młode dziewczęta, usiłował zlynchować kilku domniemanych sprawców. Rosyanina, Köstuera, którego obwiniano, że wdarł się do pewnego domu, aby stamtąd porwać gwałtem dziewczynę, tłum zbił prawie na śmierć; policya zaledwie zdołała go wyrwać z rąk rozwydrzonego tłumu. Pewnego niewinnego Włocha obito tak, że nie ma nadziei utrzymania go przy życiu.

Paryż. Śledztwo przeciw byłemu marynarzowi, nazwiskiem Naille, który niedawno wykonał zamach, strzelając do prezydenta rzeczypospolitej Fallieresa, wstrzymano, a Naille'a oddano do zakładu dla obłąkanych.

Algier. Wczoraj wieczór zderzyły się pomiędzy Algierem a Oranem dwa pociągi. Wielu podróżnych zostało zabitych lub rannych; bliższych szczegółów brak

Ze sportu.

Z wyścigu automobilowego Pekin-Paryż. Petersburska „Ruś" zamieszcza garść ciekawych notatek z pobytu ks. Borghese w Petersburgu. Automobil włoski jest kolosalną maszyną, typu wyścigowego, oblepiony błotem tak, że rozpoznać koloru niepodobna. Z tyłu wisi sześć zapasowych obręczy gumowych, niektóre w żółtym papierze chińskim. Obok duży tobół z futrami i odzieżą. Siedzeń wązkich i dość niewygodnych jest trzy: na dwóch przednich siedzą ks. Borghese i palacz, a na tylnem korespondent Barzini. Z boków dwa olbrzymie cylindry z benzyną, a na daszku olbrzymiemi literami napis: Pekin-Parigi. Automobil wygląda solidnie, jak gdyby nie był objechał pół świata. Podróżni nieco przychudli i opalili się. Ks. Borghese ma twarz koloru niemal miedzianego ze zmarszczkami od opalenizny. Mimo to czuje się dobrze. Wszyscy odziani są w płaszcze skórzane, obryzgane grubo błotem. Płaszcze te stanowiły jedyną osłonę od zmian temperatury. A ta zmieniała się często. Automobiliści przebyli cztery strefy różne pod względem klimatycznym i topograficznym. Chiny wraz z pustynią Gobi przedstawiają strefę, gdzie w dzień upał dochodzi 45—50° C., a w nocy spada do 4° niżej zera. Następnie obszar lasów wilgotny i chłodny od Irkucka do Krasnojarska, dalej do Uralu 1.800 kilm. stepu, wreszcie same góry, pocięte na przestrzeni 1000 klm. na ukos. Zapytywany o wrażenia, ks. Borghese oświadczył, że na ogół są one bardzo dodatnie. Podróżni wszędzie podejmowani byli gościnnie i znajdowali chętną pomoc. Jedną z najlepszych dróg była droga przez Gobi, tylko suchość niebywała powietrza wywoływała u podróżnych nieustanne pragnienie, a zaspokoić go nie zawsze było można. W Syberyi przeprawa była na ogół trudna, zwłaszcza w tajdze.

Ks. Borghese, pomiędzy innemi, tak się zwierzał współpracownikowi „Rusi". „Włościan z Rosyi europejskiej uważam za mniej kulturnych niż sybiraków.

W ciągu drogi jechano średnio po 400 kilom. na dobę; spano po 4 godziny w tymże przeciągu czasu. Na przejazd z Pekinu do Petersburga użyto 40 dni.

MAŁY FEJLETON

Gapon i Marcelin Albert.

Znany jaki proces z dziejów rewolucyi francuskiej, a jeszcze i z dawniejszych czasów, z najbardziej dawnych. Ludzie-bożyszcza, przed którymi tłum klękał, których prawie do godności świętych podniósł — kiedy przyszła fala powrotna, kiedy tłum zdjął z oczu okulary różowe, a popatrzył okiem krytycyzmu, ginęli z rąk ludu. Padały ich głowy do stóp szafotu, broczące purpurą krwi, zawisały dawne bożyszcza na drzewie szubienic, albo godzone ostrzem sztyletów kończyły żywot pełen chwały i czynów.

Czasem tłum nie patrzył krytycznie, czasem rządził się tylko i jedynie kaprysem. Bo pospólstwo jest kapryśne i daje się porwać chwili. Dość tylko rzucić iskrę w tłum, a zapłonie i w ogromny ogień się zamieni. A czy ogień ten drogi nowe utoruje, czy też zniszczy wszystko na okół — o to mniejsza.

Na niewidocznym, ogromnym sztandarze wielkich, kapryśnych i niezadowolonych mas, napisano słowo: zemsta. Kto je pisał? Wieki, może i ten pęd wichrzenia, czy niszczenia. A przytem te masy nie rozumieją słowa: zemsta. Nie rozumieją, za co się mają mścić i dlaczego. Nie potrafią zdefiniować przyczyny. Dość, że leży w tych tłumach instynkt krwiożerczości i żądza niszczenia tego, co budowano wieki całe, tego, na co się całe wieki zbierały.

Przyjdzie chwila... Kto wtedy hasło przyniesie i rzuci w ciemną płaszczyznę tłumu — o to mniejsza! Jakie to hasło będzie, czy rozwichrzy dusze, czy też nieść będzie oliwną gałązkę pokoju i dobroci — o to mniejsza! Dość, by było ono z siłą i mocą rzucone — wtedy je tłum podejmie i pójdzie w bój czy walkę o świętą lub złą sprawę.

Co potem będzie, jakie jutro przyjdzie — o to tłum nie pyta i pytać nie chce. Żyje chwilą, porywem i kaprysem, na dzień jutrzejszy nie chce patrzyć — bo co mu z tego. Wie, że nawet z dobrego jutra nie będzie mieć zadowolenia, że zawsze mu będzie za mało.

Bo kryje w sobie wieczną tęsknotę za czemś dobrem czy złem, za czemś, czego nie przeczuwa, nie odgaduje i czego odgadnąć ani zrozumieć nie potrafi.

Na zręcznej znajomości duszy współczesnego tłumu, który bliźniaczo podobny jest przodkom swoim z przed dziesiątków lat, wieków i tysięcy lat, wybudowano egoistyczny gmach nauki niezadowolenia — gmach socyalizmu.

I oto na taki objaw patrzymy. Po usunięciu wszelkich przeszkód psychicznych, po zdmuchaniu pyłku nawet z pojęć krytycznych, po zatruciu tysięcy dusz czerwonemi książeczkami, pisanemi z kłamanym entuzyazmem i apodyktycznością — nic się na ogół nie zmieniło.

Szeroka fala ludu została ta sama.

Tylko znalazła gdzie niegdzie ujście dla temperamentu, dla żądzy niszczenia i łupienia, znalazła wyraz dla swego psychopatycznego niezadowolenia. Mamy strajki, hałaśliwe manifestacye i demonstracye, zgromadzenia burzliwe i pół rewolucye. Mamy kategoryczne postulaty nie przemyślane i podawane na ślepo w dziecięcej naiwności czy krnąbrności.

Ale tłum pozostał ten sam.

Jak dawniej na przód tłumów wysuwali się działacze i bojownicy jak Godfryd z Bouillonu czy Wallenstein, albo genialni fanatycy w rodzaju Lutra, lub obłąkańcy jak Jan z Leyden i przewódcy religijnych czy politycznych zamieszek, opartych na skromnem łożysku pojęć własnych i dążeń, tak i dziś są ludzie, którzy masom przewodzą.

Tylko tłum ich nie lubi i nie wierzy w nich. Rozumie on zwartą masę, ożywioną jednem dążeniem, jedną burzliwą, płomienną myślą. Ale przewódcy? Tych się słucha czas pewien, wierzy się w nich dni czy tygodni parę dlatego, by ewentualną odpowiedzialność z siebie złożyć, a na jednostkę zrzucić, wznosi się okrzyki na ich cześć — ale po pewnym czasie odtrąca się ich i gubi.

Nie każda jednostka wybitna jest Napoleonem, a raczej Napoleon tylko co parę czy kilkanaście setek lat na świecie się pojawia. Popularność zaś i miara ogółu są problematyczne i więcej jeszcze niż wątpliwe. Ot, mamy taką umarłą popularność Roosewelta, z którego jeszcze przed pół rokiem robiono człowieka opatrznościowego, genialnego, a który przy nowym wyborze na prezydenta Stanów Zjednoczonych, dostałby minimalną liczbę głosów. Roosewelt stał się dla tłumów zbyt nudnym i pompatycznym. Więc:

— A bas, Roosevelt!

Gorzej jeszcze jeśli jednostka zechce wyrosnąć po nad tłum. Rewolucyę rosyjską wywołał ojciec Gapon swą energią, zaparciem się siebie i mocą słowa. Potrafił on prowadzić lud na strzały, na śmierć pewną z ręki żołdactwa. Gapon był półśrodkiem do osiągnięcia celu. Winę poniósłby on, bo wtedyby powiedziano, że tłum dał się porwać i obałamucić jego wymowie, argumentom i logice. A w razie zwycięstwa lauryby przypadły masie ludu. I przyszłyby czasy ochlokratyczne z wynajętymi klownami na postumentach władzy. No, ale inaczej się zdarzyło. Gapon nie chciał przejść w zapomnienie. Przecież w lud włożył tyle pracy, nauczał go, kształcił ciemną duszę mużyka i małomieszczanina rosyjskiego, kładł w obronie jego praw życie swoje na szalę. Zapomniał o tem, że te same masy potrafiły lat temu z dziesięć w dniu koronacyi cara Mikołaja na moskiewskiem Chodowem Polu dla rubla i paru świecidełek stratować setkę swych braci. Nie obrachował Gapon wszystkich pro i contra, zapomniał o tem, że tłum ten, jako gromada, chce władzy i dostatku, że zachłanny jest i żądny władzy, a właściwie, że tłum ten nie wie sam czego żąda, że zdaje sobie sprawę tylko z tego, że jest krzywdzony i znosi w duszy żmiję niezadowolenia, Gapon upadł. Co się z nim stało — nie wiadomo. Dość, że go sprzątnięto i nawet dobre imię mu zabrano, podporządkowawszy go pod liczny szereg zdrajców kraju.

Ojciec Gapon przeliczył swe siły tak, jak przelicza je każdy ambitny demagog, który prócz słów płomiennych i beztreściwych, bierze się do czynu.

Dwa lata minęły od czasu zmierzchu sławy i upadku Gapona. Teraz znów jawił się taki mąż Marcelin Albert, przewódca niezadowolonych winiarzy z południowej Francyi. I o nim mówiono, że jest on człowiekiem opatrznościowym, że niesie on zarzewie rewolucyi i zwycięstwa. Ilustracye całego świata przynosiły na szpaltach jego życiorysy, historyę i fotografie, tłum go na rękach nosił i czcił i ubóstwiał.

Ale Albert chciał czynów, zdawało mu się, że tem ugruntuje moc swoją, wybudowaną płomiennem słowem. I agitator zmienia się w dyplomatę. Konferuje z ministrami, dziennikarzami, występuje z obliczeniami cyfrowemi, grozi, prosi, napomina. Zdaje mu się, że przemawia w imieniu setek tysięcy.

A w rezultacie kompromitacya. Cała afera winiarzy zmalała. Powracają oni do domów, zafrasowani usłyszanem z ust miarodajnych twierdzeniem, że: wino fałszowane lepiej smakuje ludności, aniżeli prawdziwe, wytłaczane z gron winnych.

Dziś przynoszą taki telegram z Argeliers:

„Marcelin Albert był przedmiotem wrogiej manifestacyi i wobec groźnej postawy tłumów, musiał zamknąć się w swem mieszkaniu".

Marcelin Albert się przerachował. Genialny agitator, mistrz słowa, zmieniony w rozumnego męża stanu, męża czynu — zmalał i znikł z kartek przyszłości.

Tłum tryumfuje. Bo po jego plecach nie doszedł Albert do władzy. Tłum nawet poświęcił wiele. Bo sam tłumi zarzewie rewolucyi, występując brutalnie i hałaśliwie przeciw własnemu wodzowi.

. . . .

Stary mistrz Horacy, którego popiersie mam u siebie na biurku, uśmiechał się irocznie, skandując z zapałem:

„Odi profanum vulgus".

A tłum mimo to zawsze wyjdzie jako egoista — tryumfator.

K. Bar.

Telegramy i telefonemały

z dnia 6 sierpnia 1907.

Prognoza pogody.

Wiedeń. Prognoza centralnego zakładu meteorologicznego w Wiedniu na dzień 7 sierpnia:

W Galicyi wschodniej: Przeważnie pogodnie, mierne wiatry, ciepło, stan pogody trwa równomiernie nadal.

W Galicyi zachodniej: Po większej części pochmurno, mierne wiatry, ciepło, skłonność do burzy.

Zjazd cara z Wilhelmem II.

Świnoujście. Wczoraj o g. 10 rano udał się cesarz Wilhelm na pokład „Standarta", poczem obaj monarchowie pojechali na okręt „Deutschland" i przypatrywali się ćwiczeniom marynarki.

Świnoujście. O g. 2 po ukończeniu ćwiczeń, nastąpił powrót floty, poczem na statku „Deutschland" odbyło się śniadanie, które trwało do godziny pół do 4. Po śniadaniu obaj cesarze opuścili pokład statku „Deutschland".

Świnoujście. Car odpłynął stąd dziś rano o 11, cesarz Wilhelm zaś odjedzie wieczorem.

Berlin. „Local Anzeiger" donosi, że car Mikołaj wraca prosto do siebie, a wiadomości, iż wstąpi do Darmstadu były mylne.

Pismo to donosi dalej, że car rosyjski i cesarz niemiecki tym razem przy pierwszem powitaniu nie ucałowali się a jedynie ścisnęli sobie ręce. Mówili po francusku i po angielsku. Car miał być w dalszym ciągu zjazdu wesoły i ożywiony.

Cesarz Wilhelm pozostanie w Świnoujściu dzisiaj do wieczora. Załoga niemieckiego cesarskiego jachtu nie otrzymała jeszcze ani razu pozwolenia na odwiedzenie lądu.

Świnoujście. Wczoraj wieczór odbyła się iluminacya brzegów w Świnoujściu i okolicy. O 10 wieczór po skończonym obiedzie na „Sztandarze" urządzono iluminacyę wszystkich znajdujących się w porcie okrętów. Na masztach każdego okrętu jaśniała ułożona z lampek olbrzymich rozmiarów litera „M" z koroną rosyjską. Iluminacya trwała do 11 w nocy.

Świnoujście. Wczoraj jeden torpedowiec rosyjski, który wpłynął do portu celem nabrania węgla, utknął na mieliźnie. Prace około uruchomienia z powrotem torpedowca rosyjskiego trwają dotąd.

Dwa komunikaty ze zjazdu.

Ze zjazdu cara Mikołaja z cesarzem Wilhelmem wydane zostały z obu stron komunikaty urzędowe, które opiewają:

Berlin. Biuro Wolfa ogłasza: Zjazd w Swinemünde jest nowem ugruntowaniem opierających się na starych tradycyach przyjaznych stosunków między obu panującymi i dowodem dobrego porozumienia kierujących ministrów obu państw. Omawiano tam wszystkie aktualne sprawy i mogły być stwierdzone zgodne na nie zapatrywania. Z obu stron wyrażono życzenie utrzymania pokoju światowego. W obecnych stosunkach między Niemcami a Rosyą nic wskutek zjazdu nie dozna zmiany. Należy się spodziewać, że wydarzenia w Maroko nie spowodują żadnych zawikłań. Wszystkie państwa zdecydowane są zastosować się do aktu w Algeciras. Należy oczekiwać, że zjazd panujących przyczyni się do utrzymania pokoju.

Petersburg. Pet. ag. telegr. donosi: Zjazd cesarzy, rosyjskiego i niemieckiego, będący odpowiedzią na wizytę z przed 2 lat w Björkö, miał nadzwyczaj serdeczny charakter. Konferencye Bülowa z rosyjskim ministrem spraw zagranicznych, dotyczyły wszystkich spraw politycznych, nie miały jednakże żadnego specyalnego celu. Pokojowi na Wschodzie nic nie grozi; wydarzenia w Maroko nie dają wcale powodu do zaniepokojenia. Zarządzenia Francyi i Hiszpanii nie mogą wywołać zawikłań. Rosyjsko-japońska konwencya i umowa rosyjsko-angielska wszędzie są uznawane i mogą być pożyteczne dla utrzymania ogólnego pokoju. Spotkanie obu panujących i wymiana zdań pomiędzy ministrami nie mogą w żaden sposób zmienić stosunków zarówno Niemiec, jak Rosyi, do innych mocarstw sprzymierzonych, a przyczynią się do pogłębienia stosunków przyjaznych między obu państwami, jakoteż do utrzymania pokoju w Europie i Azyi.

Z Watykanu.

Rzym. Z powodu zaburzeń skierowanych przeciw klerowi, Watykan polecił, aby we wrześniu pielgrzymek na jubileusz papieski nie podejmowano.

Maroko.

Tanger. Niepokojące wiadomości nadchodzą z Masagan. Pospólstwo zachęcone przez zajścia w Casablanca, występuje wrogo przeciw Europejczykom. Pewien parowiec handlowy otrzymał polecenie, aby na wszelki wypadek przygotował się na przyjęcie na pokład poddanych niemieckich. Poseł francuski zażądał wysłania do Masagan okrętu wojennego.

Madryt. Wczoraj jeden krążownik hiszpański odpłynął do Casablanca.

Paryż. Wysłane pod wodzą generała Droude'a do Casablanca wojsko, składa się z dwóch batalionów strzelców i 1 batalionu dywizyi obcych, razem 2.400 ludzi piechoty z kilku armatami i 3 000 konnicy.

Gibraltar. Jeden krążownik angielski odpłynął do Casablanca.

Madryt. Jak słychać cała załoga Algeciras, licząca 3,000 głów, otrzymała rozkaz pozostawania w pogotowiu na stopie wojennej.

Ziemie polskie.

Warszawa. Ministerstwo spraw wewnętrznych rozesłało do gubernatorów w Królestwie Polskiem okólnik, polecający gubernatorom tylko w tych wypadkach pozwalać na legalizowanie związków zawodowych, jeżeli ich organizatorowie przedstawią dowody konieczności powstania związku, oraz dowiodą, iż nie mają żadnej łączności z socyalną demokracyą. W razie ujawnionej łączności z nielegalnemi organizacyami socyalno-demokratycznemi mają organy policyjne na mocy przepisów prawa wojennego pociągnąć założycieli związku do odpowiedzialności sądowej. Rozporządzenie to wywołane zostało utworzeniem przy centralnym komitecie socyalnej demokracyi nowej komisyi zawodowej, w celu propagandy politycznej wśród bezpartyjnych.

Z Rosyi.

Petersburg. Gubernie: astrachańską, saratowską, symbirską, ufińską, kazańską, niżnonowogrodzką ogłoszono jako zagrożone epidemią cholery.

Petersburg. Cały numer „Ruskoje Znamia" organu Związku ludzi rosyjskich skonfiskowały władze.

Symbirsk. W tutejszem więzieniu wybuchł bunt więźniów z powodu nieludzkiego obchodzenia się dozorców z więźniami politycznymi. Wezwane wojsko przywróciło spokój, robiąc użytek z broni. 1 więzień został zabity, kilku odniosło rany.

Zaburzenia w Persyi.

Teheran. Urzędowe telegramy donoszą, że w o j s k a t u r e c k i e z a r t y l e r y ą w k r o c z y ł y n a t e r y t o r y u m p e r s k i e koło Uzmia i spustoszyły tę miejscowość. Zabiły 18 mężczyzn oraz 60 kobiet i dzieci, poczem zabrały obóz perski, w którym było bardzo mało załogi.

Teheran. Wojska tureckie w sile 6000 żołnierzy z artyleryą przekroczyły granicę perską koło miejscowości Saiudshe i pobiły wojska perskie, które zmuszone zostało do ucieczki. Ponieważ r z ą d p e r s k i o ś w i a d c z y ł, ż e n i e c z u j e s i ę n a s i ł a c h d o s t a w i a n i a o p o r u T u r c y i, z w r ó c i ł s i ę d o R o s y i i A n g l i i o p o m o c.

Z Francyi.

Paryż. Jedno z pism donosi, że rada legii honorowej odrzuciła propozycyę ministra oświaty co do nadania szefowi oddziału wyznań, Mejanowi, orderu legii honorowej. W kołach rządowych fakt ten wywołał wielkie niezadowolenie, gdyż Mejan był jednym z głównych współpracowników Brianda w przeprowadzeniu ustawy separacyjnej.

Dział ekonomiczny.

β **W krajowej szkole stolarskiej w Kalwaryi** rozpoczną się wpisy uczniów na rok szkolny 1907/8 dnia 1. września i trwać będą przez tydzień. Ponieważ tylko ograniczona liczba uczniów przyjętą być może — należy wcześnie zgłoszenia nadsyłać, gdyż późno nadesłane nie będą uwzględnione. Warunki przyjęcia uczniów są następujące: 1. Ukończony 14 rok życia i fizyczne uzdolnienie do pracy w warsztacie, stwierdzone świadectwem lekarskiem. 2. Ukończone 4 klasy szkoły ludowej. 3. Rewers ojca lub opiekuna, iż uczeń przez przeciąg przepisany nauki Zakładu nie opuści.

Nauka w szkole trwa 4 lata i jest udzielaną bezpłatnie na podstawie planu zatwierdzonego przez Wydział krajowy, a ma za zadanie dokładne wykształcenie ucznia w zawodzie stolarskim. Bliższa wiadomość w zarządzie szkoły.

Z rynków towarowych.

Bank rolniczy we Lwowie.

Lwów dnia 6 sierpnia.

Dziś notujemy za 50 kilogramów loco Lwów.

Waluta koronowa.

Pszenica gotowa od 10·00 do 10·25, pszenica na termin 0·00 do 0·00. Żyto gotowe 8·50 do 9·00, żyto na termin 0·00 do 0·00. Owies obroczny gotowy 9·50 do 10·0. Jęczmień pastewny 0·00 do 0·00. Jęczmień brow. 0·00 do 0·00. Rzepak 15·75 do 16·00. Lnianka 0·00 do 0·00. Groch pastewny 11·50 do 12·00 groch do gotowania 00·00 do 00.00 Wyka 0·00 do 0·00. Bobik 0·00 do 0·00 Hreczka 00.00 do 00·00. Kukurudza nowa za 56 kil. 00·0 do 0·00, kukurudza stara 0·00 do 0·00. Chmiel nowy za 56 kilo 00·00 do 00·00, chmiel stary 00·00 do 00·00. Koniczyna czerwona —·— do —·—, koniczyna biała —·— do —·—, koniczyna szwedzka —·— do —·—. Tymotka —·— do —·—.

Spirytus paritas Tarnopol za 100 litr. nowy od 50·50 do 51·00. Spirytus paritas Tarnopol na terminy —·— do —·—. spirytus paritas Tarnopol ekskontyngentowany 30·50 do 31·00.

Ceny spirytusu nominalne.

Z targów handlowych.

Wiedeń, 5 sierpnia. S p i r y t u s. Za towar skontyngentowany z dostawą natychmiastową za 100 Hl. płacono kor. 57·20 do 58·00.

Tendencya: niezmieniona.

C u k i e r: Rafinada prima z dostawą natychmiastową z Wiednia w całych wag. K. 72·— do 72·25. Rafinada secunda z dostawą natychmiastową z Wiednia w całych wagonach K. —·—. Kostkowy prima w skrzyniach netto z dostawą natychmiastową z Wiednia K. —·—, w całych wagonach K. —·— do —·—, beczkami do —·—.

Tendencya: spokojna.

N a f t a galicyjska Standard White w całych wagonach z Wiednia K. 29·— do K. 29·50. W beczkach K. —·— do —·—

Nafta galicyjska z Wiednia beczkami K. 30·50 do K. 31·—.

Tendencya: spokojna.

Z rynków pieniężnych.

Wiedeń dnia 6 sierpnia. (Telegram „Gazety Narodowej"). Zamknięcie giełdy o godz. 3 minut 00 po południu. Akcye austryackiego zakładu kredytowego 648·75, węgierskiego zakładu kredytowego 748·50 Anglobanku 302·50, Unionbanku 537·75, Banku dla krajów koronnych 428·50, Bankvereinu 533·—, Bodencreditu 1010·00, galicyjskiego Banku hipotecznego 00·00, kolei państwowych 657·00, kolei południowej 158·50, tramwaju A. —.—, B. —.—, kolei Elbethal 422·00 kolei północ. 5220—5240, kolei czerniowieckiej 559·00, alpiny 539·75, Rima Muranya 537·75, praskiego towarz. żelaznego 2599 —·——·—, fabryki broni 470·00, tureckie tytoniowe 424·— galicyjskiego karpackiego Towarzystwa naft. 525——, oblig. węg. indemniz. —·—, renta majowa 96·60, austryacka renta koronowa 96·60, węgierska renta koronowa 92·05, 5½-letn. listy Towarzystwa kredytowego ziemskiego 95·40, 4-procentowe listy banku hipotecznego 95·00, 4 i pół procentowe listy banku hipoteczn. 99·75, 5-procentowe listy banku hipotecznego 111·00, 4-procentowe Banku kraj. 95·50, 4 i pół proc. Banku kraj. 100·90, 5-procent. komunalne obligacye Banku kraj. 00·00, 4-procentowe galicyjskie obligacye prop. 96·95, 4-procentowe galic. pożyczki krajowe z r. 1893 94·50, 4-procentowa pożyczka miasta Lwowa 93·60, losy tureckie 183·75 marki 117·53, ruble 253·25, 5 proc. renta rosyjska z 190[illegible] r. 83·30.

66

Wśród życia towarzyskiego.

Powieść EDYTY WHARTON.

(Z angielskiego).

Ciąg dalszy.)

Ach, biedni ci kawalerowie z tą nieosobistą klubową strawą, naprzemian z równie nieosobistą kuchnią obiadów proszonych! Mężczyzna, mieszkający w odnajętych pokojach, pozbawiony jest najlepszej części życia — Selden opisał pozbawiającą apetytu samotność obiadu Trenora, przyczem ogarnęło go chwilowe dlań współczucie... Ale, powracając do Lily... i pytał ciągle i badał, wysnuwał wnioski, i pobudzał Gerty, żeby o niej mówiła, zniewalał ją, żeby wypowiadała swoje najtajniejsze myśli o ich wspólnej tkliwości dla przyjaciółki.

Zrazu Gerty wywnętrzała się bez zastrzeżeń, szczęśliwa z tej zupełnej wspólności ich sympatyi. Jego zrozumienie natury Lily dopomogło jej do umocnienia własnej wiary w przyjaciółkę. Oboje zastanawiali się nad tem, że Lily nie ma szczęścia. Gerty przytaczała jej szlachetne porywy — dręczący ją niepokój, jej niezadowolenie. Fakt, że życie, jakie prowadziła, nie zadawalało jej nigdy, dowodził, iż stworzona jest do rzeczy lepszych. Mogła była już nieraz wyjść za mąż — zrobić konwencyonalną bogatą partyę, którą nauczono ją uważać za jedyny cel życia — ale, gdy nadarzyła się sposobność, Lily cofała się zawsze przed krokiem ostatecznym.

Percy Gryce naprzykład był w niej zakochany — wszyscy w Bellomoncie przypuszczali, że są zaręczeni i nikt nie mógł pojąć dlaczego mu dała kosza. To zapatrywanie na zajście z Grycem nadto było zgodne z usposobieniem Seldena, by go sobie niezwłocznie nie przyswoił, i odczuł pogardę dla przypuszczenia, które wówczas wydało mu się jedynie słusznem. Jeśli nastąpiła z jej strony odmowa — a dziwił się, że mógł kiedykolwiek o tem wątpić! — w takim razie on, Selden, miał w ręku klucz tajemnicy i zbocza wzgórz w Bellomoncie zapłonęły nie od promieni zachodzącego słońca, ale od blasku jutrzenki. On to wahał się i nie schwytał w lot sposobności — a radość, jaka teraz pierś jego rozgrzewała, mogła gościć już oddawna w jego duszy, gdyby umiał był korzystać z chwili sposobnej.

Radość, próbująca skrzydeł do lotu w sercu Gerty, naraz padła na ziemię i leżała martwa. Miss Farish siedziała wpatrzona w Seldena, powtarzała mechanicznie: „Nie Lily, nie była nigdy zrozumiana...“ a przez cały czas zdawało jej się, że to ona siedzi wśród wielkiego blasku zrozumienia. Mały zaciszny pokój, w którym przed chwilą myśli ich stykały się tak blizko jak ich fotele, stał się nagle bardzo obszerny, oddalając ją od Seldena na całą długość nowej wizyi przyszłości — a ta przyszłość ciągnęła się bez końca, a jej samotna postać z trudem torowała sobie drogę i była jak drobny punkt wśród pustki. Słyszała jak Selden mówił:

— Lily z niewielu ludźmi jest samą sobą. A potem: Bądź dla niej dobrą, Gerty, proszę cię. — A potem jeszcze: Ona ma taką naturę, że stanie się tem, za co jest uważana... dopomożesz jej, żeby miała najlepsze o sobie mniemanie, nieprawdaż?

Wyrazy te spadały na mózg Gerty jak dźwięk mowy, która wydaje się znana w oddległości, ale za zbliżeniem okazuje się niezrozumiałą. Przyszedł do niej, żeby z nią mówić o Lily — oto wszystko! Był ktoś trzeci na uczcie, którą przygotowała dla niego, a ten trzeci zajął jej własne miejsec. Usiłowała słuchać tego, co on mówi, uczestniczyć w rozmowie — ale wszystko wydało jej się niby szumem fali ponad głową tonącego i doznawała uczucia, jakiego doznawać musi tonący, że zapaść się w głąb byłoby niczem, wobec trudu walki, staczanej dla utrzymania się na powierzchni.

Selden wstał, a Gerty odetchnęła głęboko, czując, że niebawem byłaby mogła uledz błogosławionym falom.

— U pani Fisher? Mówisz że ona tam jest na obiedzie? Potem będzie tam muzyka; zdaje mi się, że otrzymałem zaproszenie. — Spojrzał na zegar, wskazujący kwadrans na jedynastą. — mogę tam teraz wstąpić; wieczory Fisherowej są zabawne. Nie siedziałem za długo, Gerty? Wyglądasz, jakgdybyś była zmęczona... gadałem bez końca i znudziłem cię.

I, pod wpływem niezwykłego wezbrania uczuć, złożył kuzynowski pocałunek na jej policzku.

U pani Fisher tuzin głosów powitał, po przez obłoki dymu, Seldena. Gdy wszedł, słuchano jakiejś pieśni, a on zajął miejsce obok gospodyni, szukając wzrokiem miss Bart. Ale jej nie było, a to odkrycie sprawiło mu przykrość zupełnie nieproporcyonalną do swego znaczenia, skoro bilecik, który miał w pugilaresie zapewniał go, że się spotkają o godzinie czwartej dnia następnego. Czas czekania wydawał się jego niecierpliwości nadmiernie długim i, nawpół zawstydzony tym swoim porywem, pochylił się, gdy śpiew ustał, ku pani Fischer i zapytał, czy miss Bart nie była u niej na obiedzie.

— Lily? Przed chwila wyszła. Musiała pójść... zapomniałam dokąd. Przecudna była wczoraj wieczorem, nieprawda?

— Kto taki? Lily? spytał Jack Stepney z głębi pobliskiego fotelu. Wiecie co, nie bawię się w pruderyę, ale gdy młoda dziewczyna stanie na licytacyę... zamierzam zupełnie poważnie pomówić z kuzynką Julią.

— Nie wiedziałeś pan pewnie, że Jack został naszym cenzorem towarzyskim? — rzekła ze śmiechem pani Fisher do Seldena, poczem roześmieli się wszyscy dokoła. — Ale to kuzynka, a gdy mężczyzna jest żonaty... Szpalty „Nowin Miejskich“ pełne dziś były Lily.

— Tak; ładny to był opis — rzekł p. Ned Van Alstyne, gładząc wąsy, by ukryć uśmiech. Czy kupiłem to brudne piśmidło? Nie, naturalnie, że nie; ktoś mi je pokazał... ale słyszałem o tem już poprzednio. Gdy dziewczyna jest taka ładna jak ona, powinnaby lepiej pójść zamąż; wówczas nikt o nic nie pyta. W naszem źle zorganizowanem społeczeństwie niema jeszcze ustawy, która nadawałaby młodej kobiecie przywileje małżeństwa, nie narzucając jej jego obowiązków.

(C. d. n.)

Wydawca i odpowiedzialny redaktor Platon Kostecki.

Z drukarni i litografii Pillera, Neumana i Sp.